

Dr Max Beheim-Schwarzbach

TYROLCZYCY NA ŚLĄSKU

Najmłodsza kolonia wiary ewangelickiej
w Prusach



W tłumaczeniu ZUZANNY KUJAT





Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy

Dr Max Beheim-Schwarzbach

TYROLCZYCY NA ŚLĄSKU

**Najmłodsza kolonia wiary ewangelickiej
w Prusach**

Wrocław
Wydawca von Eduard Trewendt
1875

38 lat po osiedleniu w Mysłakowicach

Tłumaczenie
ZUZANNA KUJAT

4(15)/2017
Zeszyty Historyczne



Bukowiec 2017

Seria wydawnicza:

Zeszyty Historyczne

Cykl wydawniczy Zeszyty Historyczne został nagrodzony w Jubileuszowym XXV Ogólnopolskim Przeglądzie Książki Krajoznawczej i Turystycznej II NAGRODĄ w kategorii Informatory krajoznawcze i foldery

Redakcja
KRZYSZTOF TĘCZA

Współpraca
WITOLD SZCZUDŁOWSKI
ANNA TĘCZA

SKŁAD
Wydawnictwo-Poligrafia AD REM
www.adrem.jgora.pl

DRUK
Związek Gmin Karkonoskich

WYDAWCA
Związek Gmin Karkonoskich
PAŁAC BUKOWIEC
58-533 Mysłakowice
ul. Robotnicza 6
www.karkonosze.eu

© by Związek Gmin Karkonoskich, 2017

ISSN 2449-741X

Zdjęcia na okładce:
str. I. Pałac królewski w Mysłakowicach, str. IV. Kościół pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Mysłakowicach
(fot. Krzysztof Tęcza)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Publikacja i kopiowanie całości lub części wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy.

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Siedemnasta publikacja Regionalnej Pracowni Krajoznawczej Karkonoszy przy Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu

Wprowadzenie

Dokładnie 180 lat temu miało miejsce wydarzenie, które na zawsze zmieniło życie mieszkańców Mysłakowic. Wtedy to, z dalekiego Tyrolu wyruszyła kilkusetosobowa grupa ludzi, którzy ze względu na wyznawaną religię byli narażeni w swojej ojczyźnie na różnego rodzaju prześladowania i niedogodności w życiu codziennym. Wykorzystując zaproszenie Fryderyka Wilhelma III udali się w nieznane mając nadzieję na spokojne życie. Myśleli przede wszystkim o swoich dzieciach. Podróż, mimo pewnych uciążliwości, przebiegła w miarę sprawnie. Na miejscu w Erdmannsdorf-Zillerthal (Mysłakowicach) ujrzeli piękny górski krajobraz nad którym wznosiła się Śnieżka. Wydawało im się, że będą mogli tu pracować i myśleć o przyszłości. Czy tak było? Chyba nie do końca. Część z przybyłych wyjechała po jakimś czasie dalej szukać dogodnego do osiedlenia miejsca, a część została uważając, że oto znaleźli swoje miejsce na ziemi. Znaleźli swoją nową ojczyznę.

Do tej pory ukazało się wiele opracowań, z których możemy dowiedzieć się o tym jak przyjmowano wówczas przybyszy z Tyrolu, jak im pomagano, jak oni w końcu radzili sobie w tym obcym dla nich kraju. Były opisy ukazujące społeczność tyrolską 50 czy 100 lat po osiedleniu. Był też opis ukazujący ich 38 lat po przybyciu do Mysłakowic. Publikacja dr Maxa Beheim-Schwarzbacha – Zillertaler in Schlesien – wydana w roku 1875 we Wrocławiu jest pierwszą tak obszerną i wzbudzającą największe zainteresowanie. Dlatego Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy działająca w Związku Gmin Karkonoskich postanowiła wydać ją w języku polskim. Tłumaczenia dokonała mieszkanka Mysłakowic pani Zuzanna Kujat, a namówił ją do tego inny mieszkaniec Mysłakowic pan Emil Pyzik. On też poniósł koszty tłumaczenia.

Emil Pyzik przybył do Mysłakowic w 1966 roku. Przez 43 lata pracował jako nauczyciel. Nic dziwnego, że poznał większość mieszkańców, których dzieci uczęszczały do szkoły w której pracował, a której w końcu został dyrektorem. Dzisiaj spora część mieszkańców Mysłakowic to jego wychowankowie. Pan Emil jako osoba przybyła tutaj z Podkarpacia szybko uznał nowe miejsce zamieszkania za swoją nową ojczyznę i dlatego postanowił poznać historie tej ziemi. Zaczął zbierać pamiątki otrzymywane czy odkupowane od starszych mieszkańców. Nabywał stare pocztówki nie zapominając oczywiście o wydawanych aktualnie. Pozyskiwał wszelkiego typu wydawnictwa, zarówno zwarte jak i wycin-



Emil Pyzik

ki z gazet. Z czasem uzbierało się tego tyle, że jego mieszkanie okazało się zbyt małe by pomieścić całą kolekcję.

Pan Emil czując potrzebę dzielenia się pozyskanymi materiałami z innymi rozpoczął starania o ich upublicznianie. I tak w 1994 roku władze gminy wydały przygotowaną przez Emila Pyzika i Jadwigę Tomaszewską pozycję pt. „Mysłakowice dawniej i dziś, przewodnik turystyczny”. Kolejne publikacje wychodziły w różnym nakładzie, w zależności od pozyskanych środków finansowych. Wiele pozycji powstało w symbolicznym nakładzie lub wręcz w pojedynczych egzemplarzach.

Na dzień dzisiejszy Emil Pyzik posiada chyba największy zbiór dzieł i eksponatów związanych z Mysłakowicami. Jest także kopalnia wiedzy o czasach zarówno przed jak i powojennych. Bowiem ze względu na jego pracę, wielu mieszkańców Mysłakowic otwierało się przed nim i opowiadało mu historie swoich rodzin, swojego tu przybycia i pierwszych lat pobytu. Pan Emil wszystko skrzętnie notował i wykorzystywał w kolejnych publikacjach.

Niniejszy Zeszyt Historyczny, w którym zamieszczamy przetłumaczoną przez Zuzannę Kujat książkę dr Maxa Beheim-Schwarzbacha „Zillerthaler in Schlesien”, oddajemy w ręce Czytelników dzięki użyczeniu materiałów znajdujących się w posiadaniu Emila Pyzika. Pozycja ta została wzbogacona o reprodukcje starych pocztówek czy rycin, także użyczonych przez pana Emila. Jego bezinteresowna pomoc w kompletowaniu materiałów zasługuje na najwyższe uznanie i dlatego pragnę podziękować panu Emilowi za zaangażowanie i uwagi.

Krzysztof Tęcza

Spis treści

KRZYSZTOF TĘCZA

<i>Wprowadzenie</i>	3
Przedmowa	5
Wstęp	6
Nasze zainteresowanie Zillerthalem	8
Ruch religijny w Zillerthalu i emigracja do Prus na Śląsk	10
Zillerthalczycy w Kowarach	20
Zillerthal w Erdmannsdorf (Mysłakowice)	46

Przedmowa

Tyrolczycy w Zillerthal pod Karkonoszami jest to zwięzłe namalowany obrazek, który ukazał się nieco później niż również moje dość obszerne i wyczerpujące dzieło pt. „Kolonizacje Hohenzollernów” wydane w Lipsku przez Dunckera i Humblota. Obraz ten z wielu względów nie pasował do poprzedniej publikacji.

W tej skromnej mojej książce, chcę również wykazać, jak dokładnie według mojego przeświadczenia, rzeczywista historia kolonistów w Niemczech się kształtowała, czy pojmowana była jako narodowo-ekonomiczny statystyczny sprawdzian, a może jak dalece sięgać to będzie w żywe tętno narodu.

Każda kolonia ma swoistą i odrębną fizjonomię, specyfikę i szczególną charakterystykę. Moim dążeniem było, aby w Zillerthalskiej kolonii akurat tę stronę uwydatnić, podkreślić i wyszczególnić. Właśnie z tego powodu znalazły się tutaj listy końcowe do Tyrolczyków, napisane przez Marię, córkę brata królewskiego, Wilhelma, mieszkającego w pobliskich Karpnikach, gdy już jako dorosła osoba odwiedziła dawną ojczyznę przesiedleńców w austriackim Tyrolu. A to dlatego, że gdy jeszcze będąc dzieckiem, wiele razy przebywała wśród przesiedleńców w Zillerthal-Erdmannsdorf (Mysłakowicach) i bardzo się z nimi zaprzyjaźniła (dopisek obecny, dzisiejszy). Z tego również powodu znalazły się tutaj materiały statystyczne z podróży i osiedlenia.

Nawet z tak małej kolonii, i zaledwie 38 lat po osiedleniu (dopisek obecny) trudno było pozierać materiały i ułożyć z nich sensowny i prawdziwy obraz tamtych czasów i poszczególnych ludzi. W tym wszystkim pomogła zapewne dobra wola segregującego i porządkującego zdobyte materiały archiwalne.

Źródła do tej pracy znalazłem w czasopiśmie „Rheinwaldsa”, który zaraz po przybyciu przesiedleńców, tę emigrację potraktował z teologicznego punktu widzenia. Jego pismo opisuje ich historię aż do przybycia do Kowar, tam to urywa się dalszy ich los. W przeszłości i na miejscu sam obserwowałem ich dalsze losy oraz zbierałem materiały, aby dobrze i bez zniekształceń odtworzyć dzieje. O czasie pobytu Tyrolczyków w Kowarach materiały można było otrzymać z wrocławskiego archiwum. To właśnie dzięki uprzejmości wcześniejszego, naczelnego prezydenta prowincji Śląsk pana von Nordenflycht, takie materiały zostały mi udostępnione. Do tego przyczynił się sporo starosta Jeleniej Góry, pan von Grawenitz. Podobną pomoc otrzymałem od miejscowych sądów dla Tyrolczyków, a najwięcej dopomógł mi w mojej pracy miejscowy nauczyciel przesiedleńców mieszkający przy szkole tyrolskiej, pan Hahn.

Niech mi teraz będzie wolno złożyć tym wszystkim osobom serdeczne podziękowanie oraz panu radcy archiwalnemu prof. dr Grunhagen za uprzejme wsparcie podczas pisania mojej pracy.

Rada Pedagogiczna, Ostrowo k/Filehne, 1875 rok.

Dr Maks Beheim-Schwarzbach

Wstęp

Dokładne prześledzenie powstania tej kolorowej układanki i zespolenie tego nowopruskiego narodu, z jego poszczególnych części – atomów, od jego najwcześniejszych czasów, byłoby to cudowne i bardzo ważne zadanie, lecz nad wyraz ciężkie dla historyka kultury. Dopiero dokładna wiedza gatunkowa tej wielkiej mieszaniny, która sprowadza się do kolonizacji i wędrówek, rzuca prawdziwe światło na niejedną, pozornie jasną, stronę w istnieniu naszego narodu. Na odnajdywanie podobieństwa rodzinnego z przodkami, co nas z pewnością zachęcająco motywuje i fascynuje.

W całość na wschód od Łaby zamieszkałej części niemieckiego narodu, wysoce godne uwagi jest utworzenie lokalnego i wymieszanie północno- i południowo-niemieckiego elementu przez te właśnie kolonizacje i wędrówki z przybyszami, wędrowcami poza niemieckimi charakterami. Tak dostrzec można już w czasach średniowiecza masowe wędrówki: Franków, Bawarów, Szwabów aż do najbardziej odległych granic północnych i północno-wschodnich terenów zakonu pruskiego. Wędrowcy ci służyli często jako „rębajło” w armii również z południa nacierających rycerzy. Oni to później dostawali w lenno ziemie i ludzi, lub nawet osadzano ich na małych gruntach na miejscu jako przyszyłych rolników, hodowców zwierząt gospodarskich.

Niemcy uchodzili tutaj za rzadkość i często byli przez okoliczną ludność wypierani. Nie na próżno mawiało się w starym porzekadle „Tu nikt nie ma prawa być ważniejszym, czy jest to Szwab, Bawarczyk lub Frankończyk”.

Południowo-niemieckie ślady np. szwarcwaldzkie stroje, w starych czasach przywiezione, można znaleźć daleko, nawet na wybrzeżu Bałtyku. W późniejszym okresie przywędrowali mieszkańcy Pallatynatu do Marchii oraz do Prus Wschodnich. Kolonie Szwabów były dosyć liczne w Nowej Marchii. Spora emigracja Salzburchyków znalazła w Prusach Wschodnich, a szczególnie na Litwie, swoją nową ojczyznę. A z drugiej strony słyszymy różne melodie z nizin niemieckich w górach.

Jeszcze za czasów Karola Wielkiego, szczególnie Saksończycy i mieszkańcy Westfalii, mocno się krzątali na pięknym Śląsku, a nawet dalej na południe, na Węgrzech. Oni to uprawiali pola, karczowali lasy, zakładali wioski, miasta i warowne zamki zaludniając nowe obszary. Głównymi bohaterami tych pokojowych migracji byli szczególnie Niderlandczycy. To właśnie ich migracje zostały opisane w wielu grubych księgach, jak wędrowali na wschód Europy, opuszczając rodzinne strony. Powstały z tego powodu nawet zabawne piosenki, przez wielu śpiewane np. „Na ziemię wschodnie chcemy wędrować, na ziemię wschodnią chcemy iść. Są tam zielone łąki, świeże wrzosy. Tam jest dla nas lepszy byt”.

Niderlandzki styl budowy można odkryć we wschodniej Marchii i ostre spojrzenie znanego w dalekich kołach znanego berlińskiego architekta Adlera. Były to i tak pozostały najpiękniejsze i największe dary, jakie Niemcy z północy i z południa między sobą wymieniały, i co jest najlepsze, nawzajem sobie przekazywali.

Przeszczypty te wykazują ważną moc i siłę, jaka jest w naturze ludzkiej, rozwinięte na rodzinnej ziemi, niekiedy wynika z przepełnionej energii lub z goła z innych powodów. Niekiedy już nie ukorzeniają się więcej i szukają innej gleby, innego słońca, aby na nowo się znowu odtworzyć i zrealizować wewnętrzną siłę.

Była to zapewne potrzeba wzajemnego uzupełniania się północnego i południowego charakteru, pełniejszego zrozumienia do rozwiązywania kiedyś wielkich zadań kulturalnych i niemieckości na dawniejszym słowiańskim wschodzie. Od kiedy istnieje ród Hohenzollernów, pociąga on z południa na piaszczyste obszary Marchii kolonistów na północ, w celu zmieszania niemieckich plemion, co zapewne sprzyjało pogodzeniu się narodowych różnych natur, różnych społeczności.

Czas do ostatecznej, powszechnej historii tej Hohenzollernowskiej kolonizacji, ze swoimi głęboko sięgającymi potężnymi oddziaływaniami jeszcze nie nadszedł. Brakuje do tego pomnika książęcej działalności. Jeszcze spora liczba małych kamieni, która w czasie tego mozolnego i pilnego zbierania ze wszystkich kątów i krańców kraju musi być najpierw dostarczona. Jak niepokąźny, niepozorny taki mały kamyczek!

Na setki i tysiące należy je liczyć, jeśli mają przynieść jakiś efekt! A jednak, kto chciałby znaczenie tej niby niepozorności i nieistotności poddać w wątpliwość? W naturze jest jak w sztuce! Taki pojedynczy kamyczek, ja tutaj właśnie wyszukałem, więc z miłością i radością Wam go opracowałem, obrobiłem i jeśli też w owej „Historii kolonizacji” nie może być zastosowany lub użyty jako kamień narożny, to może jednak zostać użyty jako ostatni poniekąd kamień końcowy tej budowli.



Strona tytułowa oryginału
znajdującego się w Archiwum Państwowym
we Wrocławiu, Oddział Jelenia Góra

Nasze zainteresowanie Zillerthalem

Blisko, a właściwie u stóp Gór Błękitnych – Gór Olbrzymich czyli Karkonoszy, pod samą Śnieżką, w ustronnym sąsiedztwie wioski Erdmannsdorf (Mysłakowice), leży trochę z boku ożywionej drogi – trasy turystycznej, wioska, która przez swój osobliwy styl budownictwa, kieruje uwagę przybyszów. Ale nie tylko to, co zewnętrzne, które odcina się całkowicie od okolicy, jest osobliwe, bo także mieszkańcy tych domów tyrolskich są tutaj „przeflancowanym” z innej ziemi gatunkiem, który absorbuje nas i zasługuje na nasze całkowite zainteresowanie. Ich mieszkańcy, od których ta cała kolonia nosi nazwę to – „Zillerthalczycy”.

Jakie wspomnienia w nas ta nazwa wywołuje! Wspomnienia złośliwych nietolerancji ze strony dawniejszej ojczyzny, wspomnienia o odważnej nieugiętości i ich niezachwianej wytrwałości w wierze, o przyjaznej i prawdziwie ewangelickiej miłości, z jaką nowa ojczyzna przyjęła swoje dzieci. Dla których rozłożyła swe ramiona, aby przygarnąć do serca uciśnionych i odrzuconych. Wspomnienia dawne o całym tym strasznym czasie wysiedleń i uchodźctwie z powodu wiary.

Nie dlatego, aby historia emigracji Tyrolczyków, albo przyjęcie ich w Prusach, jakkolwiek prawdziwe w historii kolonizacji, szczególnie było epokowe! Zillerthal jest tylko przypadkowo ostatnim ogniwem długiego łańcucha emigracji. Łańcucha, którego pierwsze spoiny zostały wykute przez skłonność i fanatyzm w czasie reformacji. Właśnie tej przypadkowej okoliczności – sytuacji, że Zillerthal jest to ostatnia kolonia wiary w Prusach, iż okazało się to możliwe, że taka siła wierności religijnej przetrwała w tym tak często okrzyczanym „stuleciu obojętności”. To podniesienie i przypieczętowanie w naszych oczach tego miejsca do rangi interesującego i kulturalno-historycznego nie jest całkiem bez znaczenia.

Poza tym, jak to się często mówi, historii tej kolonii nie można nawet trochę przyrównać do szaleńczych ucieczek bochemczyków, palatyńczyków, salzburczyków i jak oni się tam jeszcze nazywali. Jeśli Ci pędzili, podobni do huczącego potoku, burzliwie i dziko, z krzykiem strachu udręczonych i zastraszonych, do kraju schronienia, to ich historia jest tragedią chwytającą za duszę obserwatora wzruszającą sceną. Tu Ci ciągnęły spokojniejszym strumieniem, kolonistów wiary, cichą gromadą z austriackiego Zillerthalu, prawie idyllicznej, niezmaconej niczym ciszy, przez swych katolickich współobywateli i w końcu sam rząd, wsparci i przezornie zaopatrzeni w najpotrzebniejsze rzeczy do podróży.

Także siła liczebna emigrantów (400 osób) była, w porównaniu do wielu tysięcy, które liczyły tamte kolonie, tylko skromna i niewielka. Równie mało wiarygodne jest, że ci koloniści zasiedleni zostali przez ówczesnego pruskiego króla w celu rozwiązania specjalnych zadań kulturowych. Nie, ten mały Zillerthal na Śląsku wynika wyłącznie z chrześcijańskiej miłości i miłosierdzia Fryderyka Wilhelma III.

Jeśli jednak Tyrolczycy, mimo wszystko już wówczas w czasie swego osiedlenia się tutaj, wzbudziło pewne poruszenie, bo okazywano im wszędzie sympatię i bogate wsparcie, to powodem tego było, że kolonizacje wtedy były naprawdę rzadkością. Kolonizacja

zapewne urwała się równo ze śmiercią Fryderyka II. Wyrosła już nowa generacja, dla której owe motywy, jakie przed pół wiekiem obowiązywały, teraz stały się obojętne. Jeśli owa ciężka praca licznych założeń kolonijnych w czasach wielkiego kolonizatora sprawiała duży kłopot bardzo zajętemu urzędowi, zazdrość czy drwiny publiczności, także wzbudzała niezadowolenie tamtejszych narodowych ekonomów – z tą małą Zillerthalską kolonią, która nikogo nie narażała na niebezpieczeństwo odebrania przywilejów, jeszcze odciążała od zbyt wielkiego ciężaru pracy, która w czasie tego króla była unikatem, prawie wszyscy sympatyzowali. Do tego doszła jeszcze pracowitość przybyszów! I jeszcze jedno. Za szczególny powód tak małego przyjęcia i osądzenia tej kolonii, można uznać to, że z biegiem czasu mogło być coraz więcej wysubtelnione i wyostrzone poczucie honoru narodu w rzeczy związanej z wiarą.

Katownie już nie są w użyciu, a lśniaca ostra broń, która kiedyś przeciwko innowiercom była użyta, już mocno pordzewiała i bardzo stępiła się w dzisiejszym, chrześcijańskim świecie. Rany pozostały od ostatniego stulecia, wliczając w to jedynie parę wyjątków, już nie cielesnego rodzaju i tym bardziej za to wrażliwy i delikatny, jak za patologicznej zasady, zaostrzyły się nerwy ortodoksyjnych prawowiernych. Ta nadpobudliwość – drażliwość, stała się ostatnio chorobą i tak żarliwość religijna jest już bezkrytyczna, obojętnie czy to pojedynczy osobnik, czy może całe partie wierzących. Im nie wolno przeszkadzać w ich religijnym zapale – zapatrywaniu, nawet, jeśli to niebezpiecznie hamuje stosunki społeczne czy też sięga do obcego umysłu, tak bardzo, że w ich oczach takie każde zakłócenie jakiegokolwiek rodzaju, zaraz uchodzi za godne potępienia. Ten zaś, któremu w tym usiłowano przeszkodzić, łatwo staje się w ich oczach męczennikiem.

Tak więc do wyjaśnienia jest, czemu już przed 35 laty, w czasie romantyzmu i „praktycznej humanitarności” ta mała kolonia Tyrolczyków mogła wzbudzić tak ogólne współczucie i niejedną sensację. Że teraz jeszcze szczególne zainteresowanie w tym mamy uzasadnia się to tym, że ta kolonia jest nam bliska i współczesna. Że synów sposób postępowania i intencje swych ojców z wielkim pietyzmem pielęgnują. Że ci z pierwszych emigrantów jeszcze żyją i stanowią mówiący pomnik humanitaryzmu i tolerancji z tych tak nieszczęsnych dni politycznej reakcji i żądzy prześladowań. Z ich reakcji padło ofiarą mnóstwo dzielnych ludzi. Tak więc z różnych powodów specjalne zainteresowanie akurat tą kolonią jest wytłumaczalne. Okaże się to jeszcze bardziej usprawiedliwione, jeżeli rzucimy krótkie spojrzenie na samych ludzi, jeżeli zawrzemy bliską znajomość z tymi istotami.



Johann Fleidl

Johann Fleidl,
przywódca uchodźców religijnych z Tyrolu

Ruch religijny w Zillerthal i emigracja do Prus na Śląsk

Skromna i prosta jest historia wygnania Tyrolczyków z ich rodzinnego kraju w austriackich Alpach. Żadne gwałtowne nawałnice nie wypłoszyły Zillerthalczyków z ich rodzimych gór, tylko drgania straszliwej burzy, która od dnia reformacji aż do dzisiejszych czasów, pokryła piękne niebo nad Europą i która wkrótce to tu, to tam, zadała katastrofalny cios.

Także w pięknej dolinie Ziller niebo przeszywały błyskawice, tak że mieszkańcy zmęczeni częstym grzmotem i zawsze parnym powietrzem, tak bardzo tęsknili za czystym i rozjaśnionym niebem, aby móc pod nim żyć i umierać bez strachu w ewangelickiej wierze swoich ojców i dziadów.

Dużo mówiło się we wcześniejszych czasach o „niewidzialnym kościele”. W środku tak bardzo katolickich krajów, gdzie na pozór każdy najmniejszy protestancki ruch był zawsze tłumiony, biło niezauważalnie i niedosłyszalnie, ciche ale żywotne serce tej wiary. Tylko w pozorowanej śmierci lub nieprzytomnie leżało to, co nieobeznanym wydawało się martwymi zwłokami. Z takim niewidzialnym kościołem mamy tutaj do czynienia.

Prawie niezauważalnie w środku katolickiej ludności w katolickim państwie austriackim, już wiele lat temu rozsiane nasienie ewangelickiej nauki zachowało się i prowadziło cichą, ale pełną życia egzystencję. Tyrolska kraina, do której naturalnie należał Zillerthal, stała zawsze w pierwszym rzędzie wiernych wasali Watykanu. Również arcybiskupi Salzburga, jako wieloletni panowie tej doliny, stali ostro na straży, aby chwast herezji w ich kraju nie znalazł sobie miejsca lub został całkowicie wytępiony.

Nie mniejszy ale również surowy, miała ta dolina regiment katolicki, w czasie panowania bawarskich Wittelsbachów, jak również austriackich Lotaryńczyków, którzy ją przejęli w posiadanie. Ale tak, jak w salzburskim i w różnych miastach bawarskich oraz w dalszych miejscach monarchii austriackiej, także i tutaj pomimo wszystkich środków ostrożności, nauka Lutera mogła się rozszerzać i utrzymywać. Wcześniej znalazły dojsście do ludzi słowa reformatora a także pisma i sama Biblia.

Nie brakowało także ludzi, którzy nieświadomi, lecz ochoczo przysłuchiwali się głoszonej nauce, a chwiejnych w wierze umacniali. W sąsiednich krainach, z salzburskim na czele, gdzie zwolenników potajemnie zaznajamiano z ewangelią. Swoje księgi, jeżeli zaszła taka potrzeba przechowywali w ukryciu. Podczas wymarszu posiadali Biblię, które liczyły sobie ponad 200 lat.

Przez 300 lat ta miarodajna przemoc dawała pozorne złudzenie, że jedność kościoła katolickiego została uratowana. Niestety, w końcu uderzył w górę jasny płomień i wówczas już nie można było niczemu zapobiec. Prawie 100 lat po salzburskiej emigracji, po walkach przez dziesięciolecia z nadreńskim pretendentem do dziedzictwa, gdy wywalczony Zillerthal przypadł wreszcie Austrii, ruch wyznaniowy stał się wtedy już całkiem oczywisty.

W 1826 roku kilku prostych ludzi, którzy już w swoim wnętrzu nie mogli dłużej skrywać walki ze sobą, poszło do swych katolickich księży i wyraziło się jasno, co kryje

się w ich sercach. Prosto i szczerze wyjaśnili, że nie będą nigdy prawdziwymi katolikami, także przed całym światem chcą oznajmić, kim chcą być naprawdę i proszą o pozwolenie o jawne i otwarte wyznawanie ewangelickiej wiary. Myśleli jednak błędnie, że duch cesarza Józefa wyrozumiałego ich sprawę weźmie pod ochronę!

Duchowni, którzy od dawna znali tajemne przekonania swoich dzieci, próbowali uspokoić, zwodzić lub wręcz skłonić do zmiany decyzji. Chcieli przede wszystkim uniknąć wielkiego skandalu w swoich parafiach. Lecz kto nie znał chłopskiego, upartego rozumu, teraz przekonał się, że Zillerthalczycy pozostali twardo przy swoich zapatrywaniach i przekonaniach. W związku z tym, wydano dziwne zarządzenie kościelne; „ten, kto chce odejść od narodowego kościoła i chce przejść na inną wiarę, jest zobowiązany przedtem uczestniczyć w 6-tygodniowych lekcjach religii u swoich dotychczasowych duchownych parafialnych”. Świadczenie z tej nauki religii, ma być później przekazane i doręczone odpowiednim władzom administracyjnym.

Pierwsi, którzy się do tego zgłosili, byli to mężczyźni z wiosek: Ramsberg, Hollencen, Majerhof i Unterbichl. A byli to: Józef Rahm, Franciszek Steinlechner, Jakub Kreidel i jego dorośli synowie Mateusz i Józef, Mateusz Dubmajer, Jakub i Grzegorz Hanser. Katolickie duchowieństwo zachowało się w tej sytuacji bardzo spokojnie. Nikt teraz nie może im zarzucić, że przynajmniej przez nakłanianie i na dobrej drodze wszystkiego próbowali, aby te zaginione dusze uratować. Nic nie słyszano o fanatycznych nawracaniach przemocą ze strony duchowieństwa, ani o groźbach czy zastraszaniu. Wciąż mieli nadzieję, że uda im się rozbudzoną i namiętną świadomość religijną uspić.



Dom Tyrolski w Mysłakowicach (fot. Krzysztof Tęcza)

Tymczasem, ciągle nowi poddawali się 6-tygodniowym naukom religii. Wówczas zebrali się różni miejscowi duchowni, aby obradować nad innymi środkami obrony przed tym złem. Wszyscy doszli do porozumienia, aby na razie zaniechać dalszych lekcji religii, aż do czasu, gdy otrzymają odgórnie dalsze instrukcje. Sytuacja przeciągała się, a poleceń nie było.

Gubernia w Insbrucku zawiadomiła o tej sprawie obydwie Ordynacje. Te zgodziły się na środki zaradcze i wyraziły protest przeciwko powstawaniu i urządzaniu antykatolickiego kultu w kraju. Rząd w Insbrucku natychmiast przekazał sprawę na cesarski dwór. Minęło 5 lat, a mieszkańcy Zillerthalu wciąż nie otrzymali definitywnej i wiążącej odpowiedzi. Mimo to jednak nie dali się z tego powodu zbić z tropu i dalej trzymali się mocno swojej wiary, nawzajem się wspierali. Po 5 latach nowych wyznawców było już 240 osób, jest to dosyć dużo jak na takie małe miejscowości. W większości byli to pastarze, rzemieślnicy, robotnicy, kilku chłopów i właściciele majątków.

Do Tyrolu w 1832 roku w tym czasie przypadkowo przybył cesarz Austrii Franciszek. Zillertalczyki szybko wysłali deputację do Insbrucka, a na jej czele stanął mężczyzna, który w tej historii emigracji odegrał wybitną rolę, był nim Johannes Fleidl. Wraz z nim byli również Heim i Brucker. Mieli oni cesarzowi osobiście przedstawić prośbę, utworzenia w swojej górskiej ojczyźnie własnej protestanckiej gminy. Po wielu zachodach udało im się dostać przed oblicze cesarza.

Rozmowa, jaką przeprowadzili z wielką uprzejmością i humanitarnym ludzkim podejściem do osoby cesarza, spotkała się z głęboką różnicą w poglądach między monarchą a całą administracją państwa. Jak można było przypuszczać, audiencja ta nie miała żadnego powodzenia. Jest prawdopodobne, że cesarz użył uspokajających słów dla zażegnania konfliktu i prawdopodobnie powiedział „Wcześniej luteranów w Salzburgu nie tolerowano, teraz już tak nie jest, on cesarz nikogo nie zmusza do swojej wiary”. Ale jak często bywa, osobiste zapatrywanie regenta nie zawsze idzie w parze z „racją stanu”.

Natychmiast rozpoczęto przedstawiać przeciwne dowody cesarzowi, aby wniesiona petycja Zillertalczyków nie wydała pozytywnej odpowiedzi. Większość Gmin Sądu Krajowego Zill proszono o „zaniechanie rozdwojenia religijnego w ich kraju”. Został przez nich postawiony zarzut, iż edykt tolerancyjny cesarza Józefa, w Salzburgu nigdy właściwie nie został ogłoszony, dlatego z tego powodu jest więc on nieważny.

Po długich naradach w tyrolskim Landtagu i w Hofburgu, została wreszcie opublikowana informacja dla zainteresowanych. „Zostaje wam oznajmione, przenieść się do innej prowincji austriackiej, gdzie są już antykatolickie gminy – do Siedmiogrodu”. Wszystkie prośby i odwołania aby zmienić to postanowienie, pozostały bez rezultatu. W międzyczasie ich życie z dnia na dzień było coraz cięższe. Prawdopodobnie to kościelnym osobistościom należy przypisać owe nieuniknione następstwa tej nieszczęsnej sytuacji.

Dalej czuli się protestantami, choć nie mieli żadnego pasterza, także kościół katolicki jeszcze całkowicie z nich nie zrezygnował. Jednak nałożył na nich ograniczenia jak: odmowę ślubu oraz pogrzebu. Także administracja państwowa mieszała się do tego, przeszkadzając i utrudniając protestancko usposobionym obywatelom w różnych spr-

wach np. w należnych im prawach lub zdobyciu czegoś na własność. Również została im odebrana powszechnie przyjęta zasada, że właściciel majątku ziemskiego był zwolniony od służby wojskowej.

Podobnie robiono im utrudnienia podczas wydawania paszportów, nawet wtedy, gdy celem podróży był Wiedeń. Przy takim traktowaniu, przy swoim żywym temperamencie, z pewnością nie ustrzegli się od nieprzyjaznych wybuchów złości i gniewu, i tak drwinami i przekornością odgrywali się na swoich przeciwnikach.

Katolicy wiedzieli o wyszydzeniu ich ceremonii przez protestantów. Położenie stało się coraz bardziej nie do wytrzymania, nieprzyjemne i jeśli od góry została im zasiana idea wyemigrowania, to bardzo szybko się ona rozrosła. Jeżeli raz znalazło się niezadowolone miejsce w sercu, to w członki weszła ochota do wędrówki, bo nie można było już dłużej tego wytrzymać. Słowa oficjalnego ogłoszenia w 1834 roku roznieciły płomień, lecz wszyscy oni byli w jednym zgodni. Jeżeli należy wyemigrować, to droga musi prowadzić do ewangelickiego kraju. Chcieli więc tak postąpić, jak przed laty salzburchy.

Wzdragali się przed tym, aby poniekąd jako chorzy, zostali ewakuowani do innej prowincji Austrii lub jako skazańcy zostali zdegradowani. Ale dokąd mieli by się udać? Wprawdzie Prusy jako ośrodek protestantyzmu jakby ich przywoływał jak przed laty ich współbraci, ale ostrożność radziła prostym chłopom najpierw wysłać deputowanego przedstawiciela. Ich wysłannik miałby się rozejrzeć i zebrać informacje, co ich tam czeka w nowej ojczyźnie.

Ich wysłannikiem okazał się znowu Johann Fleidl. On sam udał się prosto do Berlina, gdzie na piśmie przedstawił swoją prośbę. Również udało mu się dostać osobiście przed oblicze króla i osobiście przedstawić swoją prośbę. Król Pruski Fryderyk Wilhelm III rozmawiał z wielką uprzejmością z Tyrolczykiem przez dłuższy czas. We wszystkim rozmawiali z wielkim zrozumieniem a skromne i otwarte usposobienie Tyrolczyka podobowało się królowi. Fleidl zapewne sam ułożył pisemną prośbę w imieniu swoich współbraci do Jego Wysokości króla Prus.

Najmiłociwszy wielce potężny królu! Najłaskawszy królu i Panie!

W imieniu swoim i moich współtowarzyszy w wierze, których liczba wynosi od 430 do 440, odważam się wołać o pomoc do wspaniałomyślności i łaski ewangelickiego majestatu, jako czystego obrońcę czystej ewangelii. Z całej duszy chciałbym chętnie Waszemu Majestatowi tę prośbę osobiście i ustnie przedstawić, jednak zadowolę się także, jeśli tylko będzie mi wolno to uczynić na drodze pisemnej.

W naszej ojczyźnie powtarzają się co mniej więcej 100 lat, akty przemocy i wypędzeń. Nie z powodu przestępstw lub jakiś innych przewinień lecz z powodu naszej wiary musimy opuścić naszą ziemię ojczystą, jak to wskazuje załączony certyfikat z 11 miesiąca. Mamy wprawdzie wybór przesiedlenia się do innej austriackiej prowincji lub całkowitą emigrację. My wybraliśmy tą ostatnią, aby zaoszczędzić nam i naszym dzieciom każdą dalszą złośliwość.

Już raz ofiarowały Prusy naszym uciśnionym przodkom bezpieczne miejsce schronienia, także teraz my opieramy całą naszą ufność na Bogu i dobrym królu Prus. Mamy nadzieję, że znajdziemy pomoc i nie skalamy się hańbą. Prosimy przeto Wasz Majestat jak najniżej o miłość i przyjęcie nas oraz łaskawe wsparcie, gdy przybędziemy do Was. Prosimy, aby Wasz Majestat przyjął nas po ojcowsku, abyśmy mogli żyć według naszej wiary.

Nasza wiara opiera się całkowicie na nauce pisma świętego i na zasadach augsburskiej wiary. My czytaliśmy pilnie i dokładnie te pisma i poznaliśmy różnicę pomiędzy słowem Bożym a ludzkim umysłem. Od naszej wiary nigdy nie odstępimy, dla niej opuszczamy nasze domy i gospodarstwa, dla niej naszą ojcowiznę. Prosimy, aby Wasz Majestat łaskawie zezwolił nam pozostać razem w jednej gminie. Będzie to dla nas pomocą we wzajemnym pocieszaniu i wspieraniu. Prosimy, aby Wasz Majestat, osiedlił nas łaskawie na terenie, którego warunki rolnicze przypominają nieco nasze, alpejskie okolice.

Rolnictwo i hodowla bydła były zawsze naszym głównym zajęciem. Na marginesie przytaczam, że 2/3 z nas mają posiadłość, 1/3 żyje z pracy, a 18 jest rzemieślnikami, między którymi 13 to tkacze. Prosimy też Wasz Majestat, aby dał nam prawdziwego w Bogu kaznodzieję, prawdziwie gorliwego nauczyciela.

Podróż będzie nas dużo kosztowała, jeszcze nie wiemy, co wniesiemy do nowego domu, i my, i nasze dzieci już długi czas, musimy się obywać bez religijnego wsparcia oraz szkolnej nauki. Gdyby miał się jakiś kłopot wydarzyć, a szczególnie u biedniejszych z nas, którym też może majątek nie wystarczyć, ponieważ i oni tu od nowa zacząć muszą, to jednak Wasza Miłość będzie dla nas wszystkich ojcem.

Niech Wasza Wysokość zatroszczy się także, aby nam na 4-miesięczny termin wyjazdu od 11 maja do 11 września, ewentualnie do następnej wiosny przedłużony został.

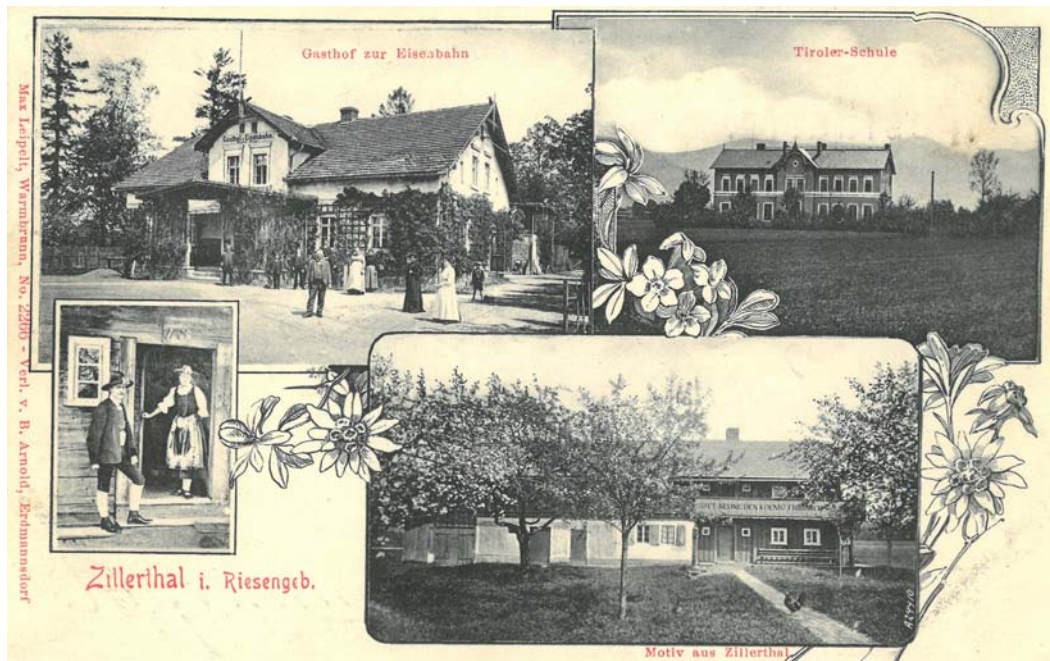
Wyprzedaż naszych majątków, która już się rozpoczęła, która jednak w tak krótkim czasie, nie może być zakończona bez uszczerbku dla nas. Nastanie zimy, niezaradność ludzi starych i dzieci, są to przyczyny, dla których takie wydłużenie terminu jest dla nas wielkim wyrzeczeniem.

Bóg zapłać Waszej Wysokości, za dobroć, którą dla nas czyni, wiernymi i uczciwymi pozostaniemy także w Prusach. Co dobre w naszej tyrolskiej naturze, tego nie wyzbędziemy się. Powiększymy tylko liczbę pokornych poddanych Waszej Wysokości i w historii pozostaniemy jako stały pomnik. U wielkodusznego króla pruskiego na zawsze znajdziemy schronienie i opiekę”.

Berlin, 27 maja 1837 roku.

Tyrolczycy przez swojego orędownika Johanna Fleidla z Zillerthalu.

Mimo, że król zachował się wspaniałomyślnie wobec Fleidla i pokazał wielkie zainteresowanie przedstawioną sprawą, był jednak na tyle ostrożny, by nie dać od razu na ślepo obietnicy. Definitywną odpowiedź deputowany otrzyma w odpowiednim czasie. Audjencja odbyła się na koniec maja, zaś dnia 5 czerwca nadeszła odpowiedź króla na



Pocztówka z 1903 roku (archiwum Emila Pyzika)

złożone podanie. Król jest gotowy spełnić prośbę Zillertalczyków. Okazało się, że już przed przybyciem Fleidla, król zainteresował się ich sprawą i wysłał do Wiednia naczelnego radcę konsystorialnego oraz dworskiego kaznodzieję Straussa, aby zacząć już coś w tej sprawie robić.

Jednak aby podjąć ostateczną decyzję, musiał najpierw wysłuchać sprawozdania Straussa, który w swojej powrotnej drodze miał wstąpić do Zillertalu. Fleidl otrzymał z królewskiej szkatuły ładną sumę 10 fryderiańskich luidorów na podróż i udał się w drogę powrotną.

Jeszcze jedno w tym liście zasługuje na bliższe objaśnienie. Kiedy w Wiedniu dowiedziano się o niezmienniej decyzji Zillertalczyków, sprawie tej nadano nową formę w 1837, ponieważ protestancko nastawieni Zillertalczycy wybrali emigrację transkontynentalną. W związku z tym zostali wezwani do opuszczenia swojego kraju w ciągu 4 miesięcy. To rozporządzenie stoi jednak w sprzeczności z westfalskim ustaleniem pokojowym, które ustaliło uchodźcom 3-letni termin. Tak więc został zburzony most, emigracja rozstrzygnięta i ze zrozumianą niecierpliwością czekali wszyscy na powrót Johanna Fleidla do Zillertal.

Kiedy wreszcie przybył, rozpoczęto przygotowania do wyjazdu, bo nikt już nie wierzył w odmowną odpowiedź króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III. Również Strauss w powrotnej drodze postanowił z nimi porozmawiać i posłuchać ich tłumaczenia wiary. Wszystko to, co usłyszał i zobaczył na własne oczy, bardzo mu się spodobało i zaraz o wszystkim powiadomił swojego monarchę.

Już wcześniej nakazał Fleidlowi, który tutaj również zabierał główny głos w imieniu całej społeczności, aby wręczył mu listę chętnych do wyjazdu do Prus. Fleidl przekazał Straussowi taki wykaz, ale nie uważano że lista jest już definitywnie zamknięta. Liczba chętnych do wyjazdu zmieniała się codziennie. Gdy teraz należało podjąć ostateczną decyzję, nie obeszło się bez wewnętrznej walki ze sobą, bo przecież należało opuścić dom, gospodarstwo, znajomych, bliskich i rodzinę i wyjechać w nieznaną.

Z tego też powodu mogła powstać jakaś różnica w ilości uchodźców. Strauss jednak uspokoił Fleidla i zaznaczył, że to nie jest tak ważne. Inni współtowarzysze, których nie ma na liście, mogą również jeszcze do nich dołączyć, jeżeli są tej samej wiary.

Przezorny król, jeśli chodzi o ich pojmowanie wiary, został przez Straussa uspokojony, jednak jeszcze zlecił tajnemu radcy rządowemu Jacobi, aby wyjaśnił przyszłym pruskim poddanym ich prawa w nowej ojczyźnie oraz czekające ich obowiązki. Aby zapoznał ich z kodeksem cywilnym oraz z obowiązkiem obrony ojczyzny, czyli z powołaniem do służby wojskowej. Nie powinni wkroczyć do nowej ojczyzny ze złudzeniem czy rozczarowaniem.

Zillerthalczycy na wszystko wyrazili zgodę i gdyby szala nowych obowiązków była jeszcze dłuższa i tak by się zdecydowali. Na drugiej szali leżał ciężko ważący podarunek, który uważali za najważniejszy, czyli wolność religijna.

Prusy nie były jedynym krajem, który brano pod uwagę, inne kraje niekiedy dawały bardziej kuszące warunki np. angielskie stowarzyszenia wysłały posłańców do Zillertalu, które więcej obiecywały niż Prusy, jednak Prusy były już krajem wcześniej sprawdzonym pod tym względem.



Dom Tyrolski w Mysłakowicach (fot. Krzysztof Tęcza)

Dopiero teraz, gdy chętni do wymarszu zostali o wszystkim pouczeni i poinformowani i wszystko to zaakceptowali, nastąpiła ostateczna odpowiedź króla pruskiego. Dnia 13 lipca 1837 roku Rząd pruski dał zgodę na przyjęcie emigrantów. Omówiono i wytyczono z góry drogę marszu – marszrutę oraz zaopatrzenie podczas marszu przez handlarzy. Rząd austriacki został poproszony o przedłużenie zbyt krótkiego terminu wyjazdu, gdyby wędrowcy potrzebowali dłuższego czasu. Władze w Wiedniu na taką prośbę wyraziły zgodę.

Protestanci z zapałem wzięli się za przygotowania do czekającej ich podróży oraz pakowania i sortowania potrzebnych rzeczy. Wszystkie ziemie zostały sprzedane bez podejrzeń i podstępów, i odwoływania się do sądu. Jeżeli kupiec nie mógł od razu zapłacić, to został zobowiązany do przesłania pieniędzy do miejsca osiedlenia. Dobytek chowano do skrzyń, kufrów, koszy podróжных i waliz. Często dwie, trzy rodziny łączyły się razem i ładowały swoje mienie na jeden wóz. Niezamożni ładowali dobytek na małe wózki ręczne, które sami ciągnęli, podobnie jak sam Johann Fleidl.

Nadszedł wreszcie dzień pożegnania. Już na 2 tygodnie przed ustalonym terminem byli gotowi do podróży. Im bardziej zbliżała się godzina rozstania, tym gwałtowniej następowały kolizje. Tak gwałtowne rozstanie się ze starą ziemią pozostawiały duże rany i wielkie rozdarcia. Nawet jeśli całe dające życie organizmu zostało wyrwane z ziemi, to nie pociągało za sobą wszystkich, jednak niektóre włókna trzymają się twardo swego podłoża. Teraz jeszcze, w ostatniej chwili, przyciągały więzy do obyczajów starej nauki, sama ojczyzna i krewniacy, którzy tu pozostali.

Niektóre żony płacząc wyjaśniały mocno stojącemu za wyjazdem mężowi, że nie może z nimi jechać, bo nie może zostawić na łaskę losu swych starych rodziców. Częstym wypadkiem było gdy pozostawały dzieci, podczas gdy starsi je opuszczali lub odwrotnie. Tak została jedna kobieta, siostra katolickiego nauczyciela z 8 dziećmi na miejscu, zaś nieubłagany mąż pociągnął za swoją wiarą. Z innej rodziny zdecydowały się dwie siostry odejść, podczas gdy ich ojciec i inne rodzeństwo nie mogli rozstać się z pięknym Zillerthalem. Takich przypadków było wiele. Były to naprawdę ludzkie tragedie, jednak większość w swoim uporze kierowała się słowami z Biblii – „Lecz kto opuści dom czy braci, siostry, czy ojców swych i matki, czy swoje żony a nawet i dzieci lub pole w moim imieniu, ten zostanie stokrotnie wynagrodzony i otrzyma życie wieczne”.

Z radością należy stwierdzić, że austriacki rząd nie czynił żadnych trudności opuszczającym ojczysty kraj, jak to niegdyś się już zdarzało na odchodne. Nie wywierano na nich żadnego przymusu, a czasem niezamożny otrzymywał wsparcie na drogę. Rząd zadbał też o to, aby wyjazd odbył się bez zakłóceń w jak najlepszym porządku.

Najpierw zostały sporządzone zarządzenia o kontroli i paszportach dla wyjeżdżających, które zgodnie z ogłoszeniem z 4 sierpnia 1837 roku miały następujące punkty:

Każda głowa rodziny musi posiadać paszport główny, w którym wszyscy członkowie jego rodziny są wymienieni.

Takim paszportem miał obowiązek wykazać się każdy będący tu służbowo jak również każda samotna osoba.

Każda głowa rodziny otrzyma dokument z Sądu Okręgowego zezwalający na wyemigrowanie i osiedlenie się w Prusach.

Nieslubnych dzieci bez zezwolenia władz wyższych nie wolno ze sobą zabierać.

Nikomiu bez paszportu nie wolno wyjechać.

Rodzice są zobowiązani o wystaranie się o zaświadczenie szczepienia dla swoich dzieci, ponieważ tak sobie życzy Sąd bawarski i saksoński.

Szczególną uwagę z różnych powodów zwrócono na to, aby wymarsz odbywał się w małych grupach, a nie w dużej liczbie ludzi. Dnia 31 sierpnia 1837 roku ruszył pierwszy transport, a w całości wyruszyło 5 różnych grup marszowych, w każdy dzień do 4 września po jednej. Liczbę uchodźców podaje się na 440 osób, co jednak nie zgadza się z liczbą przybyłych do Prus, która wynosiła 416 osób.

Ból z powodu rozstania ciężko przygniatał ich dusze, gdy ze wszystkich stron, nie jak to często czytamy w historii, z powodu szyderstw, złości i ślepego fanatyzmu, pozostałych na miejscu zatwardziały katolików, lecz z powodu łez krewnych i przyjaciół oraz znajomych, którzy dawali im bolesną eskortę. Wierni katolicy odprowadzali ich dłuższe odcinki drogi, ściskali im współczująco ręce i doradzali im jeszcze w ostatnim momencie aby się rozmyślili. Niektórzy obiecywali duże dary jeśli pozostaną. Pewna gospodyni obiecała jednemu całą gospodarkę jeżeli tylko zawróci z powrotem. Ale na próżno, nie zawrócili z raz obranej drogi. Ze wszystkich stron patrzyły na nich dobroduszne z uprzejmym skinieniem poważne twarze i licznie wołano za nimi życząc im wszystkiego dobrego.

Przemarsz toczył się tak, jak to często podczas marszu się odbywa. Na początku byli wszyscy pełni entuzjazmu i silni, później siły słabły. Śpiew, modlitwa i kazania podnosiły potem załamany na pewien czas hart ducha. Jedni od początku do samego końca byli dobrych myśli, inni niedługo zaczęli wierzyć, że słowa złych proroków w starej ojczyźnie teraz się spełnią, zanim jeszcze przejdą przez Czechy i umrą śmiercią głodową.

Jeszcze inni bardzo obawiali się Prus, które przez niektórych przedstawiane były w czarnym kolorze. Niekiedy w czasie marszu okazywano im współczucie i przyjaźń, czasami dawano im wsparcie. I jeśli nawet niektórzy uparci katolicy księża, przez których parafie przechodzili wygnańcy, mówili im o karze Bożej dla luteranów, to zdarzało się, że ludność odmawiała im nawet noclegu i odpoczynku w swojej miejscowości. To jednak większość społeczeństwa z którym się spotykali, była dla nich serdecznie i przyjaźnie nastawiona.

Niektórzy przy swojej obojętności nie mogli nawet pojąć zachowania się wędrujących Tyrolczyków, którzy dla jakichś tam idei pozostawili swoją ukochaną ojczyznę i udali się na tułaczkę. Inni mniemali błędnie, że wędrowcy chcą zostać Żydami. Zawsze o Bogu mieli dużo do powiedzenia, gdy wdawali się z nimi w rozmowy i byli przy tym bardzo ostrzy w dyskusjach, jak nikt spośród miejscowych. Tylko z Matką Bożą byli mało jakoś obeznani.

Przewidziana marszruta prowadziła przez Salsburg – Arcyksięstwo Górna Austria – Morawy – Czechy i prowadziła przez miejscowości: Salsburg – Linz – Budziejowi-

ce – Chrudin – Trutnow – Lubawka. Wszyscy chwalili wielki porządek i ciszę, z jaką poruszali się wędrowcy w swoim pochodzie. Sami uchodźcy zwracali uwagę na zachowanie dyscypliny i dobrych obyczajów, tak że niepotrzebny był komisarz nadzorujący marszrutę, który skierowany został przez Urząd austriacki.

Niekiedy na swojej drodze wstępowali do kościoła, czasem obcy duchowni wygłaszali dla nich kazania na dworze – w plenerze, gdzie góralskie chóry w głębokich dolinach pięknie rozbrzmiewały. Cały pochód wyglądał zapewne ciekawie dla mieszkańców mijanych miejscowości. Na czele pochodu maszerowali mężczyźni oraz kobiety rosłe i silne, głowy nakryte mieli znanym tyrolskim kapeluszem, kobiety trzymały w rękach parasolki, wszyscy ubrani byli w ludowy tyrolski strój.

Być może, że ich tradycyjny strój ludowy został specjalnie uszyty na tak długą drogę. Z powagą i ciszą szedł pochód naprzód, nawet przyglądające się im tłumy zachowywały głęboką ciszę. Mocne, spokojne zdecydowanie odbijało się na obliczach maszerujących mężczyzn, na rysach kobiet widać było pokorną cierpliwość.

Za nimi podążały wozy ze słabszymi spośród emigrantów, kobietami, dziećmi jak również najpotrzebniejszymi rzeczami załadowanymi i eskortowanymi przez mężczyzn. Za nimi zaś, całkiem z tyłu, wlokły się dwukołowe taczki z książkami, pchane przez swych właścicieli.

Dnia 20 września 1837 roku wędrowcy przekroczyli granicę cesarstwa i weszli na pruską stronę we wsi Miskowice. Tamtejszy duchowny Belmann zatroszczył się o to, aby im zgotowano uroczyste powitanie – przyjęcie. To tutaj otwarto przed nimi po raz pierwszy ewangelicką świątynię w ich nowej ojczyźnie. Wstąpili do środka i w wielkiej ciszy stanęli dookoła ołtarza. Jeden z nich zauważył w kościele portret króla Fryderyka Wilhelma III i innym zwrócił uwagę na niego. Z okrzykiem zaskoczenia, wszyscy razem pobiegli do portretu i wpatrywali się w niego z błyszczącymi radością oczyma. Stąd do Kowar to już tylko mały odcinek drogi przez przełęcz. Po krótkim odpoczynku, pojedyncze grupy i cała grupa pochodu ruszyła dalej do ostatniego miejsca postoju.



Pomnik Johanna Fleidla
przed szkołą w Mysłakowicach
(*fol. Krzysztof Tęcza*)

Zillertalczycy w Kowarach

W Prusach nie było zbyt dużych wątpliwości w jakiej prowincji – krainie „Inklinanci” zostaną osiedleni. Żadna inna prowincja nie mogła się do tego lepiej nadawać, raczej sama się prosiła – był to Dolny Śląsk. Śląsk to nie tylko najbliższy do osiedlenia teren, ale także przez swoje położenie w jakiś sposób przypominał im swoją piękną ojczyznę. Kraj który stracili był w pewnym stopniu podobny do tego, który dostali od króla pruskiego. Jak dobrze wiemy była to jedna z najważniejszych i najgorętszych próśb do pruskiego monarchy.

Wcześniej więc z tego powodu, z rozkazu króla pruskiego, został powiadomiony naczelny prezydent Śląska dr Merkel, aby uchodźcy powierzeni zostali jego specjalnej pieczy, opiece. Tu zaś na Śląsku nie było żadnych wątpliwości, jaka wyjątkowa okolica najbardziej tym wymogom odpowiadała. Tutejszy krajobraz Karkonoszy, ze swoimi pięknymi wioskami i miastami był dla tego projektu osiedleńczego jakby specjalnie stworzony. Merkel zamieszkały koło Bolesławca miał wyjątkowe stosunki z tą okolicą.

Tutaj w pobliżu Kowar, w pięknym i urokliwym Bukowcu, żyła wysoce przez niego ceniona i czczona, starsza pani, z którą wdał się w szeroko zakrojoną korespondencję. Pani hrabina Fryderyka von Reden na niedolę ludzką miała szeroko otwarte oczy, czułe serce i zawsze pomocną dłoń – przymioty te szczególnie mocno się rozwinęły podczas jej wdowieństwa. Głęboka skłonność do pobożności, pozwoliły jej dla tych nieszczęśników, którzy z powodu wiary, wyrzekli się nawet własnej ojczyzny i sięgnęli po wędrownie kije, otworzyć dla nich swoje kochające serce.

Na skutek pertraktacji naczelnego prezydenta z hrabiną uzgodniono, że gdy w okolicach Karkonoszy znajdzie się zakwaterowanie dla Zillertalczyków, wtedy można będzie liczyć ze strony hrabiny na znaczną pomoc i wykorzystać jej wpływy w tym terenie. Na samym początku chodziło o tymczasowy azyl, do momentu aż ostatecznie zostanie ustalone stałe miejsce pobytu inklinantów. A wynikało to stąd, że ta imigracja została tak nagle zapowiedziana, że żadne wstępne uzgodnienia nie miały czasu aby zaistnieć, a tym bardziej być wykonane. Bo normalnie takie osiedlenie wymagało czasu do zastanowienia: co i gdzie.

Został więc uzgodniony prowizoryczny plan, którego czasu działania nie można było przewidzieć, ale zaplanowano na okres jednego roku. Takie nadzwyczajne warunki wymagały też nadzwyczajnych środków dyscyplinarnych. Kiedy Rząd był już przekonany o gotowości pomocy ze strony hrabiny von Reden, utworzono dwa prowizoryczne i nadzwyczajne urzędy zarządzające: w Berlinie – Komisja Królewska do regulowania spraw uchodźców, która składała się z 3 członków tj. z nadwornego kaznodziei Straussa i radcy najwyższego Jakobi oraz przewodniczącego ministra hrabiego von Lotto.

Jednak nagłą potrzebą było utworzenie, w bezpośredniej bliskości emigrantów, pośrednictwa pomiędzy Komisją w Berlinie, a inklinantami. Powołano więc dla kolonii specjalny komitet – Komitet do spraw uchodźców z Tyrolu. Aby założyć taki komitet należało pertraktować z nadprezydentem – dnia 13 sierpnia 1837 roku.



Litografia K. Mattis (archiwum Emila Pyzika)

Jeżeli Komisję z Berlina można porównać do władzy udzielnej mającej ostatnie słowo, która jednak emigrantów na oczy nie widziała i nie słyszała, to Komitet miejscowy był miłym i przyjemnie zarządzającym tworem, który chętnie tych ludzi uszczęśliwiał i nie pozwalał mieszać się do nich oraz brał żywy udział w ich codziennych kłopotach i małych radościach. Komitet ten był cały czas w bezpośredniej bliskości z wysiedleńcami.

Ten Komitet powstał zanim Tyrolczycy opuścili Zillertal, nie postawił sobie żadnych prostych zadań do wykonania. Najpierw został opracowany spis zagadnień, który został przedstawiony królowi, następnie przez niego sprawdzony i potwierdzony. Podstawowym założeniem tego statusu było to, że 3 urzędujących członków składało się na cały Komitet. Tych troje byli to: hrabina von Reden z Bukowca jako prezydent, radca okręgu hrabia Matuszka z Miłkowa i burmistrz z Kowar kapitan Flugel.

Celem tego zgromadzenia było: kierowanie tymczasowym zakwaterowaniem emigrantów przez jeden rok w Kowarach i jego okolicy, znalezienie dla nich i ich inwentarza dachu nad głową oraz ciągła troska o cielesny i duchowy pokarm dla kolonistów. Hrabina wyjaśniła wprawdzie z góry, że w zimie jej nie będzie w domu i zastąpi ją panna Karolina von Riesedel, lecz później wyglądało to na to, że w swoim wielkim poczuciu sumienia i w prawdziwym odczuciu swojej nieodzowności, nie umiała się oderwać od ulubionego zadania.

Każdemu członkowi Komitetu został dokładnie wyznaczony zakres działania i ustalony szczegółowy porządek działalności. W każdy piątek o godzinie 3 po obiedzie odbywało się posiedzenie Komitetu w Bukowcu, na zebranie mogli być również ściągnięci honorowi członkowie. Aby jednak rokowania nie przeciągały się długo, liczba 4 – 6 członków nigdy nie była przekroczona. Komitet podpisywał się kolektywnie – „Comitet”, przy jedności głosów decydowała pani prezydent o pieczęci, o wolnych od opłat pocztowych przesyłek, o rodzaju sprawozdań, o prowadzeniu protokołów, prowadzeniu kasy itp. O wszystkim decydowały specjalne paragrafy.

Już wówczas uważano za wskazane, pozostawić Tyrolczykom, aby sami kierowali swoimi sprawami. Uznano również, że z ich kręgu ma być wybrany Zarząd składający się z 3 lub 4 członków. Gdy oni dopiero przygotowywali się do mającej odbyć się podróży, gdy już w Kowarach wszystko było przygotowane w pełnej gotowości. Komitet sam siebie prześcigał w różnych pomysłach. Niezliczona ilość listów została wysłana na różne adresy, do naczelnego prezydenta, do różnych radców krajowych, do rozmaitych austriackich urzędów, do Wysokiej Komisji i wielu innych instytucji.

Do obywateli Kowar został skierowany apel, aby każdy, kto tylko może, przyjął do siebie emigrantów, i aby się zgłosił z tym do urzędu podając ile może udostępnić izb, pokoi, spiżarni, pomieszczeń strychowych, szop, komórek, obór, jakiej wielkości są te pomieszczenia oraz jakiego czynszu za to żąda.

Niedługo transakcja zakwaterowania, przynajmniej na początek, została załatwiona. Troską Komitetu było już wczesne i pilne przeprowadzenie wywiadu, w celu zapoznania się jakie kwatery chcieliby emigranci uzyskać do swojego tymczasowego zamieszkania. Pytano o to więc Merkela, pn nie mógł jeszcze udzielić dokładnej informacji, jednak do tych szacunków wykorzystano główną listę wędrowców. Najbardziej potrzebna była szybka zaliczka finansowa. Na dobry początek otrzymano 1000 talarów.

Ale wiele rzeczy było jeszcze do zrobienia, czas biegł coraz szybciej, a tak niewiele dopiero zrobiono. Wszystkie zgłoszone mieszkania do wynajęcia musiały być jeszcze raz sprawdzone, było to zajęcie dla rektora, który sam do tego się zgłosił. Potrzebna była jeszcze słoma i kołdry do spania oraz łóżka i prześcieradła. Każdy doradzał, ale tak bardzo było mało pomocy. W końcu dotarła wiadomość że Tyrolczycy wreszcie wyruszyli w drogę. Meldunek dotarł od najwyższego burgrabiego królestwa z Czech, hrabiego von Chotecki do naczelnego prezydenta Śląska.

Teraz pilnie śledzono marszrutę wędrowców w każdy dzień na mapie, nie brakowało też szczerych modłów dla ich szczęśliwego dotarcia do upragnionego celu. Po pruskiej stronie marszruta została ustalona. Starosta Okręgu Kamiennej Góry von Thielau, miał za zadanie przejść od granicy kierowanie pochodem i przeprowadzić go przez swoje miasto do Kowar. Nagle w ostatniej chwili przyszła wiadomość, że w Kamiennej Górze wybuchła epidemia cholery. Z tego powodu szybko wysłano wiadomość do starosty, aby zmienił trasę marszu i miejscowości, które są zarażone cholerą, ominął.

Z miejscowości Schatzlar w Czechach przez Jarkowice przeprowadził Tyrolczyków tak, że zaoszczędzono sporo drogi i emigranci wkroczyli równocześnie na pruską zie-

mię i kowarski obszar ziemski. Naczelny prezydent, który o zatwierdzenie tej zmiany poproszony został, nie miał nic przeciwko temu. Zarządzono również, aby żandarmi końmi dostarczyli do magistratu w Kowarach listy – wykazy poszczególnych transportów. Pochód jednak pozostał dłużej w drodze niż to wcześniej obliczono. Wówczas Komitet zaczął się niepokoić, martwił się, że wędrowcom sprawiono po drodze jakieś trudności. Ciągłe nie nadchodziły dalsze jakieś wieści, dlatego wzrastał niepokój wśród członków Komisji.

Zaczęto więc interweniować w różnych austriackich urzędach oraz w Pradze i w Lubawce. Jednak kolumny powoli dalej maszerowały, a wiadomości jakoś nie nadchodziły. Wreszcie dyrekcja policji w Pradze zameldowała, że 31 sierpnia dwóch przewodników Geisler i Kolan z 40 ludźmi podjęli drogę przez Trutnow. Komitet nakazał staroście z Thielau, aby pofatygował się na granicę i oprócz pokierowania pochodem, zajął się także przeglądem dokładnym paszportów wędrowców, czy przypadkiem nie zjawi się na granicy ktoś bez pozwolenia – bez paszportu.

Jak tylko austriacki Komisarz do spraw emigrantów zjawił się na granicy, wysłano meldunek do starosty, jednak gdy starosta dotarł do granicy emigranci przekroczyli granicę już dzień wcześniej. Zaś Komisarz austriacki sądził, że już swój obowiązek spełnił i udał się w drogę powrotną. Tyrolczycy zaś po krótkim wypoczynku, wyruszyli w dalszą drogę. Teraz tęsknili za zakończeniem uciążliwego marszu. Na granicy natomiast w czasie pedanterii paszportowej, podniesiono wielki lament, że rewizja została utrudniona i w spis paszportów Urzędu Celnego zostały wpisane tylko nazwiska posiadaczy paszportów, bez innych towarzyszących im osób.

Czy ten pierwszy oddział emigrantów otrzymał wiadomość o zmianie drogi, czy został powiadomiony o epidemii cholery, czy też obrali najbliższą drogę uważając za dobrą? Dość, że powędrowali całkiem sami najbliższą drogą do celu i dotarli przez Miskowice do Kowar dnia 20 września 1837 roku.

Tutaj już na parę godzin przed ich przybyciem, dowiedziano się o nich przez konnych posłańców i pośpieszono przygotować im skromne ale serdeczne przyjęcie. Oczywiście bez zbędnych formalności i uroczystości, w rozsądny sposób zaprowadzono ich do gospody pod „Lwem”, gdzie wszyscy mieli się pokrzepić jadłem i napojem, następnie rozdzielono ich na poszczególne kwatery. W podobny sposób przedstawiciele miasta Kowary obeszlą się ze wszystkimi grupami wędrowców.

Dalej nie została wyjaśniona znaczna różnica czasu pomiędzy poszczególnymi grupami. Tylko 5 dni, jak wspominało, dzieliło pierwszą grupę od ostatniej, zaś czas przybycia różnił się między nimi aż o jeden miesiąc. Podobnie nie zgadzały się liczby wychodzących, z tymi którzy przybywali, w ogóle poszczególne transporty ciężko było rozszyfrować. Wydawało się, jakby dwa transporty w drodze zlały się w jedną grupę. Stąd jest przypuszczenie, że 4 oddziały wymaszerowały, podczas gdy wiadomo że było ich na pewno pięć, jednak tylko 4 przymaszerowały. Pierwsza grupa przywędrowała 20 września a ostatnia dopiero 17 października 1837 roku, zaś jeden z Tyrolczyków Bartłomiej Stockl, przybył nawet o jeden miesiąc później.

Po przybyciu dwóch pierwszych grup, czyli głównej liczby emigrantów, już w następną niedzielę odbyło się uroczyste powitanie Tyrolczyków w kościele. Dwóch duchownych, czyli Sussenbach i Neumann, w swoich przemowach kierowali się do mieszkańców Kowar, aby ci z szacunkiem i miłością odnosili się do przybyszów. Gdy wreszcie dotarła trzecia grupa, pomyślano aby jeszcze raz urządzić kościelną uroczystość dziękczynno-powitalną, by podziękować za szczęśliwe przybycie wiernych ewangelickich, było to 8 października. Dwa dni później miało się odbyć kolejne podziękowanie dla nich.

Dla Biblii wzięli na siebie krzyż i niedolę wygnania, jednak tylko niewielu posiadało własną biblię. Dlatego postanowiono każdemu podarować Biblię, jeżeli jej jeszcze nie posiadał. Wydano zatem rozporządzenie, że o godzinie 10 przed południem mają się zgłosić wszystkie głowy rodzin oraz wszyscy samotni i nieżonaci do ratusza. Tutaj zostały im wydane Biblie jako podarunek od innych wyznawców. Szczerza i pozbawiona obłudy radość ogarnęła obdarowanych Tyrolczyków.

Krótko po tym ponownie zebrał się Komitet, by tym razem Tyrolczyków zaopatrzyć w śpiewniki. I tym razem wędrowcy przyjęli podarunek z wielkim wzruszeniem. Zapewne wiadome jest nam że z każdą taką akcją wiązały się odpowiednie budujące przemowy duchownych. Komitet te przemowy chciał wydrukować, aby je później wręczyć Tyrolczykom jako kolejną pamiątkę, lecz naczelny prezydent zakazał tego robić, aby zbytnio nie obciążać i tak skromnej kasy. Komitet zobowiązał się szczególnie podziękować wszystkim tym, którzy pomagali w podróży wędrowcom, okazali im miłość i przyjmowali ich na kwatery, a szczególnie wspomnianemu pastorowi Belmannowi.

W międzyczasie Tyrolczycy zaczęli wypoczywać po ciężkich trudach tak długiej podróży. Ich pierwszą myślą było aby złożyć królowi podziękowanie i powiadomić go o ich szczęśliwym dotarciu oraz zwierzyć mu się, co im jeszcze na sercu leży, co dalej jeszcze szczegółowo powinno być rozpatrzone. Po zebraniu pod kierownictwem Johanna Fleidla wspólnie ustalili następujący list do Jego Królewskiej Mości.

Do Najłaskawszego i wielce potężnego Króla i Pana

My Tyrolczycy, którzy wywędrowaliśmy z powodu wiary z Zillerthalu, szczęśliwie dotarliśmy do naszej nowej Ojczyzny i zostaliśmy, Bogu niech będą dzięki, że bardzo życzliwie przyjęci i przez troskliwość Jego Majestatu króla bardzo dobrze traktowani. Dziękujemy za wielką łaskawość i miłosierdzie naszego króla, które nam już i przez to jest dane, że mamy własnego nauczyciela dla młodzieży, dorosłych i starszyny, którzy jeszcze nie umieją czytać, a Pismo Święte sami chcieliby czytać.

Szczególnie jednak dziękujemy za to, że dla nas przez duchownych udzielane lekcje religii być mają, czego my wszyscy z całego serca sobie życzymy, abyśmy wszyscy poznali i pojęli, jakie ważne znaczenie ma dla nas Wieczera Pańska. Prosimy też, najłaskawszego króla i Pana naszego, abyśmy mogli, jeżeli to jest możliwe aby w tej milej okolicy mogli razem pozostać. Okolica ta jest we wszystkim podobna do naszego starego kraju, chcemy

też bardzo chętnie pozostać w pobliżu naszego wspaniałomyślnego króla.

Prosimy też by wyznaczenie naszego stałego miejsca było jak najprędzej, jeżeli to jest możliwe, udzielone, bo wtedy będziemy mieli mnóstwo do roboty, a my jesteśmy do pracy przyzwyczajeni, my nie potrafimy próżnować na daremnie.

Jesteśmy jednakże bardzo zadowoleni, że możemy powiedzieć że nieszczęście, jeżeli zamieszka obok zmiłowania, to przestaje być nieszczęściem.

Teraz składamy nasz dług wdzięczności u stóp Waszego Majestatu ze wzrokiem skierowanym na niebieskiego ojca i z prośbą, aby zechciał naszego króla zachować w długim zdrowiu i pobłogosławić jego rządy oraz cały jego królewski dwór, abyśmy mogli pod jego pieczęcią prowadzić ciche i przyzwoite życie. Dobre i miłosierne ojcowskie serce naszego dobrego króla, rozbudza nasze wszystkie serca i obiecujemy być posłuszni i wierni przez całe nasze życie.

Chcemy bardzo, jeżeli to jest w naszej mocy, spełnić wszystkie rozkazy Waszej Wysokości, tak jak to czyniliśmy dotychczas dla cesarza. Bóg zapłać Waszej Wysokości za całe dobro, które czynisz dla nas, wierni i uczciwi chcemy pozostać i nigdy nie przestawać za Was się modlić, oczekujemy również z dziecinną ufnością, co Wasza Wysokość o nas postanowi.

Kowary, dnia 18 października 1837 roku.

Podobne pismo skierowali Tyrolczycy w tym samym dniu do następcy króla, czyli jego syna, który później nosił imię Fryderyk Wilhelm IV.

Waszą królewską Wysokość powiadamy o tym, że my Tyrolczycy z Zillertalu przybyliśmy tu szczęśliwie i dostrzegamy wielkie i liczne dobrodziejstwa, jakie są w części nam dane i na pewno wiemy że zawdzięczamy to Bogu jak również naszemu dobremu królowi, za którego chcemy się nieustannie modlić.

Prosimy jednakże najłaskawszy Panie, ponieważ Was także bardzo pokochaliśmy i także całe nasze zaufanie w Wasze ręce składamy jako naszego przysłego króla, jeżeli Bóg powoła naszego króla do siebie, a królewskie berło odda w Wasze ręce, co nastąpi według upodobania Jego, aby Wasza królewska Wysokość nas także za swoje dzieci uznał i otoczył swoją opieką. My zaś podejmujemy się nasze wszystkie obowiązki spełniać i zawsze modlić się za Waszą królewską Wysokość i cały dwór, tak jak to teraz z wiernego serca czynimy, a szczególnie dnia 15 czyniliśmy to w Waszym radosnym dniu.

List do ewangelickiego duchownego.

Serdecznie ukochany przyjacielu i bracie w Jezusie Chrystusie.

Ponieważ życzyście sobie abyśmy Wam opowiedzieli, jak przebiegała podróż. W związku z tym nie będziemy już tego dłużej przeciągać. Ale prosimy Was, abyście nam nie wzięli

za złe, że nie dawaliśmy Wam tak długo znać o sobie. A przyczyna tego była taka, że chcieliśmy poczekać, aż cała nasza grupa tu przybędzie i wtedy nawet o tych ostatnich będziemy Wam mogli coś opowiedzieć.

Bardzo martwiliśmy się, bo w czasie podróży dowiedzieliśmy się, że w Bocklabruck byliście tylko 7 godzin od nas. Ale ponieważ oczekiwaliśmy codziennie Pana tu w Kowarach i nie mieliśmy żadnej pewności co z Panem się dzieje. Tak więc zdecydowaliśmy by 29 września zdobyć paszport i wyjść Panu naprzeciw.

Ale Bogu niech będą dzięki, nie doszliśmy dalej jak do Konigshain na granicę, gdzie spotkaliśmy Pana zdrowego, wesołego i pogodnego który z wielką serdecznością nas powitał. Co się zaś tyczy nas, to nie możemy pisać inaczej, jak tylko to, że wszędzie otrzymywaliśmy dobre zakwaterowanie i z serdecznością przyjmowani. Nikt nigdzie nie kładł nam kłody pod nasze nogi.

Pierwsi którzy tu przybyli z pewnością mówili, że niektórzy z nich musieli 2 razy kwaterować pod gołym niebem. Ale Bogu niech będą dzięki, naszą grupę to nie spotkało, zapewne kierowała naszą grupą ręka samego Boga i prowadziła nas przez wszystkie miejscowości, aż dotarliśmy wszyscy do naszej nowej ojczyzny. Dlatego niech Jemu będą serdeczne dzięki.

To samo mówili ostatni przybysze, czyli sprawdziły się słowa które w Efferiding podczas kazania usłyszeliśmy na pocieszenie – „**Czy brakowało Wam kiedykolwiek czegoś?**”.

Wraz z uczniami Chrystusa musieliśmy wyznać: „**Nigdy żadnego**”. Dlatego teraz chcemy naszemu Panu podać do wiadomości, że 5 z naszych już tu na miejscu w Kowarach leży w grobie pochowanych. U 3 została rozpoznana cholera przez naszego pana doktora. Zaś u 2 rozpoznano słabość cielesną, wśród których był młody chłopiec w wieku 12 lat, inni zaś byli już w bardzo podeszłym wieku. Niech się stanie wola Twoja Ojczy, któryś zawsze i wszędzie jest najlepszy.

Teraz oni udali się w podróż, pozostawiając nas w doczesnej podróży i udali się do swej nowej i niebiańskiej ojczyzny, która przecież czeka każdego z nas. Jednak jeszcze wcześniej doczekali się przyjęcia Wieczery Pańskiej, za którą przecież tak bardzo tęsknili i jej pragnęli. Teraz spokojnie oddali się woli swego Boga i zeszli z tego świata.

Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, gdyż do dzisiaj nie ma jeszcze żadnej decyzji ze strony naszego Najłaskawszego Pana i króla oraz ojca narodu, gdzie właśnie się podziejemy. Natomiast od naszego kochanego króla otrzymaliśmy wynagrodzenie jak: gdzie jest 1 rodzina, to na 1 osobę przypadają 2 srebrne grosze, a z indywidualnych 1 osoba ma 3 srebrne grosze, a także na każdą osobę powyżej 14 lat przypadają dziennie 2 funty chleba.

Teraz najserdeczniejszy bracie nasz w Chrystusie, pozdrawiamy Was wszystkich oraz dziękujemy serdecznie za wszystko, co uczyniliście dla nas w czasie naszej długiej i dalekiej podróży. Musimy przyznać, że nie byliśmy godni takiej dobroci i takiego miłosierdzia z Waszej strony, którą od Was otrzymaliśmy. Niech dobry Bóg wynagrodzi Wam wszystkim docześnie i na wieki Wasza dobroć!

Kowary, dnia 14 października 1837 roku.

Z uczuciem wzrastającej siły i ufności także w Zillertalczykach wzbierała ochota do krytyki, bo nie wszystko w nich wzbudzało zachwyt. Po pierwszym radosnym uniesieniu z powodu dobrego i serdecznego przyjęcia nastąpiła mała konsternacja. W niektórych wypadkach należy im przyznać rację. Wprawdzie kłopoty paszportowe nie były szczególnym nieszczęściem, ale powodowało to u pełnych otuchy emigrantów uczucie obcości, gdy z powodu drobnych nieścisłości w paszporcie, byli zatrzymywani na granicy i nie wolno im było ruszyć dalej do oczekiwanych Kowar, aż do czasu gdy na granicę dotarły prawidłowe dane.

W Kowarach w końcu zauważono, że 6 osób, czyli 2 kobiety i 4 mężczyzn, którzy przybyli, mieli wprawdzie paszporty, lecz nie figurowali na głównej liście wędrowników. Na skutek tego odbyły się uciążliwe przesłuchiwanie. Trzymano się wyjaśnień Fleidla, który powoływał się na swoje rozmowy ze Straussem podczas pobytu w Berlinie. Fleidl wstawił się dobrym słowem za przybyłymi w jak najlepszej wierze w swoich towarzyszy. Jednak sprawa musiała znowu przejść przez wszystkie instancje, a na to potrzeba było sporo czasu. W końcu pozwolono im pozostać razem z wędrowcami w Kowarach.

GORZEJ było z przygotowanymi mieszkaniami – na kwatery były prawie powszechne skargi. Wprawdzie Komitet dokonywał wszystkiego, co tylko było możliwe, aby wszystkich zadowolić, robiąc ciągły przegląd kwater i rozplanował je w 6 dzielnicach, które były często kontrolowane, nawet przez hrabinę. Szczególnie zwracano uwagę na to, aby osoby stanu wolnego umieścić osobno, oddzielnie chłopców i dziewczęta, lecz przy tak bardzo ograniczonej powierzchni, którą dysponowano oraz ich ciasnocie było to prawie niemożliwe.



Pocztówka z 1905 roku (archiwum Emila Pyzika)

Można było zaspokoić tylko ostateczne potrzeby, czyli takie najniezbędniejsze lecz nie było mowy o wygodach. Wynajęte izby były do tego stopnia przepełnione, że miastowy lekarz, który swoją pomoc ofiarował dla nich bezpłatnie, wmieszał się do tego rozdziału. W jednym z pokoi leżało 16 osób obok siebie, a obok w maleńkiej komórecie, która dodatkowo była bardzo wilgotna i śmierdziała stęchlizną, mieszkało 6 osób. U innego gospodarza mieszkało w maleńkiej izdebce na tyłach domu 12 Tyrolczyków. U życzliwego i pobożnego acz trochę skrupulatnego radcy komercyjnego o nazwisku Gebauer, który swoje zapasowe pokoje dał do dyspozycji Zillertalczyków. Wprawdzie był to obszerny i przestronny pokój, ale spało w nim aż 40 mężczyźn. Dla takiej liczby osób, pokój ten był zbyt mały i za niski, tak że już rano mężczyźni nie mieli czym oddychać.

Ten sam radca miał się jeszcze poza tym zatroszczyć o dalszych 30 osób – nie jest to drobnostka jak wzdychał, szybko więc poprosił, aby więcej osób już do niego nie przysyłano. Gdyby jednak miasto było bardzo obciążone to wziąłby jeszcze 15 osób do siebie, ale więcej już na pewno nie. Łącznie mieszkało u niego aż 85 osób. W innym domu w Górnych Kowarach nad nową i jeszcze bardzo wilgotną piwnicą mieszkało 7 osób i 2 z nich zachorowały właśnie na cholere. Nie obyło się zatem bez interwencji lekarza.

Potrzebne były kolejne przemieszczenia, bo i część Tyrolczyków zaczęła skarżyć się na swoich gospodarzy. Różne prośby i narzekania stawały się coraz bardziej głośnie. Wtedy zazwyczaj wkraczał Fleidl i podejmował się roli mediatora między zwaśnionymi stronami. Większość prośb osiedleńców wkrótce została spełniona. Jednak pod względem zdrowotnym wiele było do życzenia, był to rok epidemii cholery, która grasowała w całej okolicy. Wędrujący przesiedleńcy, którzy często biwakowali na dworze i w deszczu, w okresie zimowym stali się bardziej podatni na tę chorobę.

Wnet na prośbę samego lekarza został urządzony prowizoryczny szpital dla Tyrolczyków, lecz oni, jak to zwykle u nich bywa, byli bardzo nieufni i stawali się uciążliwymi pacjentami, którzy z wielką niechęcią poddawali się zarządzeniom lekarza. Sami osobiście skarżyli się do hrabiny, że lekarz nie pozwala im nawet napić się wody. W takiej sytuacji lekarz też wysłał specjalne pismo do Komitetu, w którym przedstawił swoje stanowisko. Na szczęście, a może dzięki podjętym środkom ostrożności, choroba nie zadała większych strat i przestała się rozprzestrzeniać po zajmowanych kwaterach.

Epidemia zabrała jednak 5 ofiar wśród przybyszów. Pocięchą było to, że już tym razem umarli mogli być pochowani z należnym im szacunkiem i w obecności osoby duchownej, która wcześniej udzielała umierającym Wieczerzy Pańskiej – komunii św. Zmarli zostali pochowani w obecności całej społeczności. Niektórzy zmarli byli bardzo biedni, tak że pochówkiem musiał się zająć Komitet, by pokryć potrzebne wydatki.

O stanie zdrowia kolonistów Komisja dowiadywała się systematycznie od opiekującego się nimi lekarza, który został zobowiązany do składania sprawozdania. W tym czasie również sporządzono odpowiednie i szczegółowe tabele o liczbie, nazwiskach, wieku, zabranych ze sobą rzeczach, o pozostałym majątku, o pozycji i zawodzie poszczególnych osób. Wiedzano również, jak wielkie obszary ziemi zamierzają sobie kupić oraz jak sobie wyobrażają czekające ich życie w państwie pruskim.



Pocztówka z 1918 roku (archiwum Emila Pyzika)

Z wyliczonych szacunków wynikało, że do Kowar przybyło 137 rodzin, które składały się z 416 osób. Ich nazwiska były zazwyczaj takie, jak w południowych Niemczech. W spisie statystycznym ułożono je wszystkie według alfabetu. Znajdziemy tam wielu: Fleidlów, Fankhauzerów, Innerbichlerów, Geislerów, Klockerów, Kreidlów, Oblasserów, Steinlechnerów, Schiestlów czy Wescheslbergerów.

Pośród imion spotyka się na pierwszym planie podobnie jak u nas: Jakub, Józef, Ignacy, Maciej, Paweł, Jerzy, Anna, Elżbieta, Gertruda, Maria, Magdalena, Marta. Ale częściej spotyka się imiona: Adam, Baltazar, Bartłomiej, Kajetan, Szymon, Sebastian, Wit, Waldhauser, Judyta, Sara, Waldburgia, Walpurgia.

Ciekawie przedstawia się również przekrój wiekowy. Ukazuje to kolejny rejestr z maja 1838 roku, który wykazuje już tylko 403 osoby. Niektóre zmarły w międzyczasie, inni mieli tylko tymczasowe paszporty, ale mniejsza liczba została dokładnie wyjaśniona. Aż 80 lat przekroczyły 3 osoby, a mimo to odbyły tak daleką podróż i dotarły szczęśliwie do celu, 12 osób miało ponad 70 lat, 16 ponad 60 lat, największą liczbę stanowiła grupa między 20 a 30 rokiem życia, bo było ich 71 osób, pomiędzy 30 a 40 rokiem życia było również dużo, bo 70 osób, do 5 lat życia było 27 dzieci, 10 dzieci 1 rocznych, a 66 osób było pomiędzy 10 a 20 rokiem życia.

Gdybyśmy podzieli wędrowców na kategorie według ich majątności, to powstały by 4 grupy. Na czele stali chłopci – gospodarze dobrze zamożni, a było ich 37 rodzin, czyli 201 osób, a więc prawie połowa wszystkich Tyrolczyków. Oni sami mieli majątek na około 100 000 guldenów, które przynieśli ze sobą, zaś 31 800 jeszcze nie nadeszło. Im to



Pocztówka z 1907 roku (archiwum Emila Pyzika)

właśnie towarzyszyło 9 osób jako służba, prowadzili ze sobą 34 konie, które sprzedali po drodze, gdyż uważali, że w Prusach nie będą im już potrzebne.

A co oni jeszcze tam pozostawili? Np. Baltazar Rieser posiadał w ojczyźnie następujący majątek: dom z izbą i kuchnią, 10 komór, 2 piwnice, 13 stajni wypełnionych dobrym bydłem, które latem pędzono na górskie pastwiska mogące wykarmić 36 krów. 150 cetnarów dawały mu dzikie pastwiska. Podwórze było bardzo obszerne. Jego gospodarstwo składało się z 7 cągów gruntu, 3 łąk, 10 lasu, 2 alpejskie chaty – schroniska również należały do niego. Jeżeli zamienimy to na miarę pruską, to jego pola wynosiły 28 morgów, łąka 12 morgów, las 40 morgów i 104 morgi pastwiska. Zaś jego osobisty majątek wynosił 3 649 talarów. Jednak nie był on jedynym, który mógł wykazać się takim majątkiem, wielu innych też nie pozostawało za nim w tyle.

Druga klasa składała się z małych właścicieli domów. Było ich 11 rodzin, czyli 55 osób. Oni również przynieśli ze sobą majątek na kwotę 15 652 guldeny, a do pobrania w swojej ojczyźnie mieli jeszcze 7 000 guldenów. Trzecia klasa była najmniej liczna. Dzierżawców ziemi i bydła było 5 rodzin, czyli 30 osób. Za to bardzo liczną była 4 grupa tzw. goli obywateli. Jej stan to 130 osób, przeważnie stanu wolnego. Posiadali oni zaoszczędzony grosz w ilości 18 630 guldenów, który przywieźli ze sobą.

Jeśli chodzi o pozycję i rodzaj zawodów Tyrolczyków to przeważali chłopcy – gospodarze z 35 rodzinami, 29 pracowało na służbie, 12 osób na utrzymaniu i 10 osób żeńskich, 10 tkaczy, 6 drwali, 3 zbieraczy granatów, 3 stolarzy, 3 hodowców bydła, 2 szewców itd.

Pieniądze, które koloniści ze sobą przewieźli, nie mogły leżeć długo jako martwy kapitał dlatego Komitet zaraz się nimi zaopiekował. Uważano, aby dać je na konto, aby z tego rósł procent. Najpierw musiano wszystko dokładnie policzyć, w tym celu wezwano wszystkich do ratusza. Wtedy oczom zgromadzonych pokazały się kolorowe monety, jeszcze dziwniejsze różne pamiątki – drobiazgi, szkatuły, pudła, sakwy, torby i różne puszki oraz listy.

Z przyjacielską pomocą znających się na rzeczy, którzy dobrowolnie się do tego zgłosili, zostało wszystko policzone i każdemu z osobna wystawiono pokwitowanie, gdy zdeponowali swoje oszczędności. Z początku nie bardzo wiedziano, co zrobić z tak wielką sumą. Wtedy zasięgnięto rady u kowarskiego kupca Kertschera. Według niego czeskie srebrniki bardzo dobrze będzie wydać w sąsiednich miastach, bo panuje tu ożywiony handel z czeską produkcją lnianą. Jednak należy się wystrzegać, aby nie od razu wydać wszystkiego na ten rynek. Ten pomysł wydał się bardzo uciążliwy. Zwrócono się więc do Wrocławia gdzie zostało ustanowione, że Królewski Bank wymieni walutę i oprocentuje ją w skali 3%. W następstwie tego 84 osoby zdeponowały swoje pieniądze, które po wymianie dawały majątek rzędu 53 630 talarów. Zapakowano je i wysłano do Wrocławia za 96 talarów, ale to emigrantom zostało darowane.

Jak się okazało bogatsi nie oddali wszystkiego, co zdążyli w życiu uciąć. Biedniejsi też niechętnie się ze swoim groszem rozstawali i ciężko było ich przekonać o korzyści oddania posiadanego kapitału. Gdy jednak ich sakiewki miały być zatrzymane, zażądali ich zwrotu. Byli i tacy, którzy nie zgłosili się z pieniędzmi. Ogólnie mówiąc cały majątek Tyrolczyków wynosił o wiele więcej, niż go zdeponowano i sięgał sumy około 70 000 talarów. Zapisano, że Tyrolczycy posiadali majątek w drobnych i na stanie składający się ze 139 488 guldenów.

Ci, którzy na swoje potrzeby zażądali zaliczki, taką oczywiście otrzymali, jeżeli uzasadnili swoje potrzeby. Taką pożyczkę otrzymało 17 rodzin – w sumie 3 849 talarów 15 groszy. Dla biedniejszych i całkiem ubogich napływały dary z okolicy i z zagranicy. Najpierw zorganizowano kolekty w kościołach i tak z Górnej Austrii napłynęło 170 talarów, a z Drezna 60 talarów. Następnie napływały małe i większe sumy od poszczególnych osobistości np. od księcia Wilhelma z poleceniem zakupu najpotrzebniejszych rzeczy. Zakupiono za to pończochy, chusty, rękawiczki (mimo, że uważano to za luksus) oraz ciepłą odzież zimową.

Trwalszym od darów był wypłacany im codzienny ryczałt w postaci kieszonkowego. Specjalny budżet żywnościowy został szybko przygotowany i zatwierdzony na najwyższym szczeblu. Na okres 1 roku wyznaczono 22 500 talarów. Prawie połowa z tego poszła na zaopatrzenie chleba – 4 626 talarów. Każda poszczególna rodzina otrzymywała codziennie 2 srebrne grosze, samotna osoba 3 srebrne grosze, każdemu przyznano porcję chleba (2 funty dziennie).

Stosunkowo nisko płacono za zakwaterowanie – 85 talarów i 6 srebrnych groszy. Dla lekarza i apteki zostawiono wolne konto. Jak wspomniano lekarz stawiał się na ochotnika do dyspozycji, zaś opłaty aptekarskie przez dłuższy czas opłacał książę Wil-

helm z Karpnik. Po wygaśnięciu epidemii oświadczył, że opłacani będą tylko bardzo biedni Tyrolczycy.

Niestety, Komitet otrzymywał pieniądze bardzo nieregularnie. Ciągłe musiano przypominać i składać petycje o pieniądze we Wrocławiu. Robił to kasjer podskarbi z Kowar. W pierwszym okresie przysłano zwykle 1 000 talarów, później w ratach po 2 000 talarów, a na koniec po 4 000 talarów. Przy czym należało jeszcze walczyć z wieloma trudnościami. Jeden z kasjerów odkrył formalne błędy w pismach Komitetu, również nie podobała mu się forma podpisów, innym razem forma pokwitowania, które zaczął krytykować. Wszystko miało być kwitowane według wymyślnego przez niego formatu, więc rzadko był usatysfakcjonowany. Należało w kółko pisać pisma, a pieniądze były przecież pilnie potrzebne, bo kasa była ciągle pusta, zaś zaliczki ciężko było wydebić. W związku z takimi kłopotami Komitet zaciągnął w końcu pożyczkę z kasy budowlanej, która i tak jak zwykle posiadała mało pieniędzy.

Na jaką wysokość opiewała całkowita suma opieki i wyżywienia, nie można dokładnie ustalić. Jednak suma pochodząca z budżetu, ledwo wystarczała na wszystkie wydatki, ponieważ sposób utrzymania nie odbywał tak jak to przyjęto przez jeden rok lecz prawie dwa lata, bo tak długo istniał komitet opiekuńczy. Członkowie tego Komitetu byli bardzo zapracowani, bo ciągle dochodziły im nowe obowiązki.

Do okręgowego starosty hrabiego Matuszki należał obowiązek prowadzenia korespondencji z urzędami. On to bowiem miał w swojej pieczy rejestr wszystkiego i do niego należała dokładna kontrola. Ponieważ nie mieszkał w Kowarach i nie był na co



Pocztówka z 1925 roku (archiwum Emila Pyzika)

dzień w kontakcie z Tyrolczykami, jego działalność była mniej widoczna i do tego mało korzystna. Trudniejsze zadanie miał burmistrz Kowar Flugel, dyrektor zakwaterowania, odpowiedzialny za wszystkie skargi. Do niego należała kontrola mieszkań, stajni i innych pomieszczeń. Zajmował się policją i sporządzał różne zestawienia i tabele oraz handryczył się z gospodarzami, którzy chętnie chcieli podwyższać zaproponowane czynsze i ciągle byli niezadowoleni z przebywających u nich przesiedleńców. Do niego należało łagodzić zatargi osiedleńców z najemcami.

Sporządzał również różne raporty do urzędów, kontrolował sprawy finansowe, z duchownymi radził o sprawach dotyczących religii i musiał doglądać, by Tyrolczycy regularnie uczęszczali do kościoła. Na niego spadło zbyt dużo obowiązków, tak że Komitet przydzielił mu asystenta – podporucznika. Jednak ten oficer wydawał się nie rozumieć problemów, trudno dogadywał się tak z Komitetem jak z osiedleńcami. Doszedł do wniosku, że burmistrzowi jest raczej potrzebny zastępca a nie asystent czyli jest tu zbyt czyny. Po otrzymaniu wynagrodzenia odszedł z zajmowanego stanowiska, zaś burmistrzowi zaczął pomagać w tej trudnej i odpowiedzialnej pracy jego syn.

Jednak najwięcej trosk i załatwiania oraz starań o Tyrolczyków ponosiła przewodnicząca – prezydentowa pani hrabina von Reden z Bukowca. Swoje zadanie spełniała z wielką dokładnością, z wielkim oddaniem i ogromnym sercem dla osiedleńców. Z godnością i prawdziwym kobiecym taktem kierowała służbami kościelnymi, medycznymi i szkolnymi. Tysiące codziennych małych trosk Zillertalczyków, a szczególnie kobiecych docierało do jej uszu, do serca. To ona wyznaczała nauczyciela i jego pensję, rozmawiała z pastorem o wewnętrznych i sercowych sprawach. To ona dostarczała pracy kobietom, aby mogły szyć i robić na drutach czy cerować. Ona namówiła je, aby gotowały dla nieżonatych mężczyzn i niezamężnych kobiet. To ich wzięła pod swą szczególną matczyną opiekę.

Jednak niekiedy musiała odsunąć się od nadmiaru obowiązków, by przygotować wiele pism w najważniejszych sprawach jej podopiecznych. I tak pisała np. wprost do samego króla, do naczelnego prezydenta, nigdy też nie zrażała się od tego, że do niektórych „drzwi” musiała wielokrotnie się dobijać, dopraszać załatwienia jakiejś sprawy. Sami Tyrolczycy odczuwali jej opiekę na co dzień, niekiedy mówili, że „poszliby za tą Panią nawet w ogień”. Prosty, ale wierny wyraz tej postawy dali w liście, gdzie zachowując możliwie najprzyjemniejszą formę – nazywają Ją prezydentową:

Dobrze i szlachetnie urodzona Jej Ekscelencja Pani hrabina, nasza najlepiej myśląca i troskliwa Pani, Matka z Bukowca.

Jej mocną podporę stanowił wybrany Zarząd spośród gminy tyrolskiej. Zarząd składał się z 4 zaufanych mężczyzn: Heima, Bruckera, Stocka i Fleidla. Także Zarząd ten nie miał łatwego zadania, na co dzień byli oni reprezentantami oraz rzecznikami w różnych urzędach i w Komitecie. To oni wewnątrz troszczyli się o swoich towarzyszy, o spokój i porządek, musieli łagodzić powstające spory, obracać wszystko w dobrą stronę. To Heim i Fleidl byli uważani za prawdziwych przywódców grupy tyrolskiej. Już w Zillertalu mieli u swoich sąsiadów prawdziwe i wysokie poważanie. Na dodatek obaj byli mocno obeznani w Piśmie Świętym.

Heim wcześniej przeciwstawiał się sekciarskiemu wpływowi na swoich mało obeznanych w piśmie sąsiadów. To właśnie jego autorytet przywiódł ich z powrotem na właściwą drogę. Jeszcze większy i ważniejszy wpływ miał powszechnie znany i bardzo lubiany Johannes Fleidl, to właśnie on był całą duszą Zarządu. Już jego dziadek, który pamiętał emigrację salzburską, był wiernym stronnikiem ewangelickiej nauki. Syn, a jeszcze więcej wnuk byli tego samego ducha. To właśnie wnuk był najmocniejszy w Biblii ze wszystkich Tyrolczyków. Przy tym posiadał on przy swojej pozycji zadziwiająco elokwentność czyli prawdziwy dar mowy.

Takim naturalnym mówcą był Fleidl, jednym z najbardziej znaczących. Przy tym posiadał jasny, przenikliwy wzrok, szybko spostrzegawczy i rozumiejący przedmówcę. Spokojnie zastanawiał się i dokładnie rozważał i wtedy wyglądał jak marzyciel zatopiony w swoich myślach, lecz kiedy mówił, trafiał zawsze we właściwe słowa i we właściwym czasie. Kiedy w swojej izdebce miał udzielać rady lub łagodzić spory albo omawiać ważne sprawy swojej gminy, zaglądnącemu obcemu człowiekowi musiał wydawać się jak ściągający z siebie surdut i siedzący w tyrolskiej koszuli podpasanej tyrolskim pasem i z czerwonymi szelkami jak „Naczelnny Komendant Tyrolu”. Andreasa Hoffera, który też nie patrząc na przyzwoitość, w czasie audiencji w swoim zamku w Innsbrucku, siedział w prostym wiejskim stroju i zrywał się na równe nogi z błyszczącymi oczyma przyglądając się, jak przystrojone bydło ciągnęło na górskie pastwiska.

Wygląd Fleidla cieszył oko, była to zasługa jego chłopskiej postawy, jego majątek nie ma tu żadnego podkładu, bo był on tylko prostym rzemieślnikiem. Można by było go nazywać nawet biednym niż zamożnym. Wspomnieć tu należy, że Fleidl przybył do Kowar jako kawaler i dopiero tu się zaręczył i ożenił z emigrantką z Zillerthalu, ze swoją młodą żoną wprowadził się do swego nowego domu.

„Cieleśny i duchowy pokarm” przedłożył sobie Komitet za główne zadanie swojej działalności. Jeśli chodzi o „strawę duchową” to udało się szczęśliwie zrealizować niektóre powzięte plany. Śpiewnik i Biblię dostali do rąk, a na nabożeństwa uczęszczali pilnie. Jednak szczególną radość i ogromną siłę przyciągania dawały im wieczorne krótkie nabożeństwa i modlitwa w Karpnikach.

W tutejszej szkole jednoczył ich pastor 3 razy w tygodniu, wieczorem w godzinach od 5-7 godziny, aby z nimi razem wspólnie się modlić oraz omawiać najważniejsze religijne problemy. Także i inni goście byli mile widziani, jak rodzina księcia Wilhelma z Karpnik, która często przebywała w swojej letniej rezydencji. Oni to często wspólnie się modlili i jednoczyli z prostymi Tyrolczykami.

Jednak ciągle brakowało im wykształcenia – szkolnej nauki oraz lekcji religii. Ich poglądy religijne często wymieszane były z katolickimi czy nawet z sektami. W związku z tym nazywano ich tylko „ewangelicko nastawionymi” Zillertalczykami. Wcześniej więc zadbano o to, nim poszczególne grupy opuściły swą rodzinną ziemię. Specjalnie dla nich został wybrany młody nauczyciel Hartmann z Nauczycielskiego Seminarium w Bolesławcu, który wprawdzie jeszcze nie złożył swojego egzaminu, ale który się mocno odznaczał, wyróżniał swoją wiedzą. Nie miał on jednak łatwego zadania.

W godzinach przedpołudniowych naukę pobierało około 80 dzieci szkolnych do 15 roku życia, po obiedzie przychodzili dorośli Tyrolczycy, którzy chcieli się poduczyć w czytaniu, pisaniu, matematyce czy historii biblijnej. Tych było około 90 osób. Jeszcze później, około godziny 8 wieczorem, siedzieli starzy ludzie i męczyli się w literowaniu pisma, a niezgrabne ręce próbowały nawet pisać zawile litery na papierze czy tablicy. Chcieli oni posiadaną biblię czytać, a nawet zrozumieć.

Cieszyło to też, że wnet znalazł się Tyrolczyk – Michael Kolland urodzony w Burgsttat koło Mayerhoffen, a zmarły w 1900 roku w Zillertal Erdmannsdorf, który jako pomoc szkolna mógł wspierać nauczyciela. Robił to z takim zapałem i powołaniem, że Komitet wyznaczył mu nawet honorarium – 2 talary miesięcznie. Kiedy budynek szkolny był już dla nich gotowy, miało nastąpić uroczyste otwarcie i zaproszono naczelnego prezydenta. Uroczystość miała się odbyć w dniu urodzin księżnej Marianny z Karpnik, która tą uroczystością objęła specjalnym patronatem. Naczelną prezydent miał powitać książąt jako przedstawicieli króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III – księżę Wilhelm był najmłodszym bratem króla. Jednak działalność szkoły musiała zostać nieco przesunięta, a to głównie z powodu szerzącej się zakaźnej choroby – cholery, ale również dlatego, że w budynku zakwaterowano też przybyszów, których teraz należało przenieść w inne bezpieczne i dogodne dla nich miejsce.

Właściwe wprowadzenie do prawd nauki wiary ewangelickiej przejął sam kaznodzieja. Uważał Tyrolczyków, którzy przysłuchiwali się nabożnie, za wysoce pojętych i postępowych uczniów, którzy mogli już jako prawdziwi członkowie zostać przyjęci do kościoła. Dnia **12 listopada 1837 r.** był to najbardziej uroczysty dzień jaki mogli obchodzić, gdyż wtedy rozpoczęło się świętowanie. Na uroczystość zjawili się wszyscy goście: księżę Wilhelm z Karpnik ze swoją rodziną i nasza opiekunka pani von Reden z Bukowca.

Znowu Johann Fleidl jako nasz przedstawiciel, w imieniu wszystkich zgromadzonych wokół ołtarza Zillertalczyków odmówił wyznanie wiary. Po tym dorośli przyjęli komunię świętą według ewangelickiego rytuału, teraz cel do którego wszyscy dążyli został osiągnięty.

Szkoła i lekcje katechizmu w pełni wszystkim dały takie zajęcie, że nikt z przybyszów nie miał powodu, aby skarżyć się na brak zajęcia i próżniacze życie. Jednak sporo było takich, którym brakowało ciągłej i uporządkowanej pracy fizycznej. Nie bez powodu wspominali o tym w liście dziękczynnym do króla. Znali oni bardzo dobrze błogosławieństwo pracy, aby ją unikać, znali i siebie i wiedzieli, że próżniactwo przyniesie im tylko cielesną i umysłową szkodę.

Ale czym mieli wypełnić te swoje puste godziny? Podjęli inicjatywę i zaczęli się rozglądać za stosowną pracą. Niektórzy jak kamieniarze, prosili o paszporty pracy, aby mogli handlować kamieniami. Inni prosili o pozwolenie zatrudnienia w pobliskim lesie jako dobrzy drwale, o taką pracę wystąpiło 6 Tyrolczyków. Wszystko to wcześniej musiał zatwierdzić Komitet, aby tym ludziom pójść na rękę i aby główny leśniczy Brauner ze Starych Bogaczowic ich zatrudnił. Zostali oni wyznaczeni do wyrębu drzew w Sio-

dlanej Górze. Tam zbudowali chatę z kawałków drzewa, gdzie spędzali noce w ciągu tygodnia pracy, zaś odświętne ubrania przechowywali w domu leśniczego.

Komitet nie zrezygnował także z opieki nad tymi Tyrolczykami, którzy chwilowo oddalili się od jego nadzoru. Braunerowi nakazano również, aby ich w ciężkich chwilach wspierał duchowo, a przede wszystkim ich zachęcał, by chodzili do kościoła. Jak podawał może wyrazić „radosne uczucie”, że jak dotychczas nie może dać żadnej skargi z tego właśnie powodu. Zarobek tych drwali był bardzo skromny, oni nawet za własne pieniądze musieli sobie zakupić narzędzia pracy, jak piły i siekiery. Za taki zakup każdy z nich musiał zapłacić po 6 talarów, zaś ich zarobek wynosił 7,5 srebrnych groszy dziennie. Gdy rozpoczęła się twarda zima oczywiście wrócili do Kowar.

Inni zażądali aby wydać im paszporty w celu znalezienia sobie ciekawej pracy. Takie paszporty w zasadzie ważne były tylko przez jeden rok. Niektórzy, aby podjąć nową pracę, żądali zaliczek ze zdeponowanych pieniędzy. Tylko zapobiegawczo pozostawiono pewną ilość pieniędzy na zakup kawałka ziemi w miejscu zasiedlenia. W ten sposób wypłacono 5 390 talarów z ponad 373 talarami procentu, następnie 2 068 talarów.

Niektórzy z Tyrolczyków zostali zatrudnieni np. w Mysłakowicach przy robotach ziemnych, u mistrzów ciesielskich czy murarskich. Również kobiety i dziewczęta otrzymały różne oferty pracy. Wiele z nich skorzystało z oferty pani von Reden, która zorganizowała dla nich naukę różnych prac ręcznych, które zapewne przydadzą się w nowym domu jaki niebawem miały otrzymać.

Gdy prace nad założeniem właściwej dla nich kolonii były w toku, wielu z nich mogło już być zatrudnionych dla swego własnego domu i wtedy każdy z nich był bardzo przyteczny. Jednak znalazło się i wielu takich, którzy bardzo szybko przyzwyczaili się do „słodkiego nieróbstwa” i ta czy inna czynność była im nie w smak! Ich to sam Fleidl określił jako „parszywe owce”, które wołały w domu spokojnie pozostać – siedzieć i być obsługiwani przez innych, co im bardzo odpowiadało.

Oni to właśnie byli bardzo opryskliwi, pochmurni i narzekali na wszystko i wszystkich, podczas gdy innych roznosiła energia działania i otucha ciągłego czynu, uczucie zaspokojenia i zadowolenia z pracy którą wykonywali. Od tamtych słyszało się nie raz „lepiej było jednak pozostać w starym domu, a może jeszcze teraz będzie dobrze gdy zaraz powrócimy, obojętnie czy do Zillertalu czy do innej austriackiej krainy”, gdzie nie katolicy byli przyjaźnie tolerowani. Tu i w tym miejscu zarobić coś jest niemożliwe. Często wspominało się o Styrii i rozmawiano o paszportach w to miejsce. Na takie żądania sam Komitet nie mógł od razu przystać. Do Zillertalu sam rząd austriacki zabronił im powrotu, zaś jeżeli chodzi o Styrię to się wahano. Przecież już Rząd pruski na kolonistów przeznaczył spore sumy pieniędzy i teraz znowu pójdzie to wszystko w niwecz? Niektórzy z upartych Tyrolczyków napisali nawet w tej sprawie do samego króla, a on w swojej łaskawości powiedział, aby nie robić im w tej sprawie żadnych trudności i przychylić się do ich żądań.

Dnia 29 czerwca 1838 roku ogłoszono, że każdy kto chce powrócić musi uprzednio zgłosić to do Wiednia. Ta wielka uступliwość pomogła więcej niż każdy sprzeciw w tej



Pocztówka (archiwum Emila Pyzika)

sprawie. Wielu z nich zadowoliło się tym, że przynajmniej mają możliwość powrotu bez przeszkód i wielu teraz uspokoiło się.

O wiele częściej byli tacy Tyrolczycy, którzy w inny sposób ciągle naprzykrzali się ze swoimi życzeniami i wymaganiami, którym nigdy nie było końca. Między innymi żądali, aby państwo pruskie zatroszczyło się o to, by pozostała w Tyrolu rodzina dołączyła do nich. Naturalnie Komitet i Rząd pruski na takie żądania nie mógł pozwolić. Otrzymali oni pozwolenie, aby sami zatroszczyli się o swoich członków rodziny. Wtedy sami już odstąpili od takiego zamiaru.

Wielu tak pokochało panią hrabinę von Reden, że ciągle przychodzili z niekończącymi się życzeniami i prośbami. Niektórzy myśleli, że hrabina ma nieograniczone możliwości działania, tak w Kowarach, jak i u samego króla pruskiego. Łagodna pani wszystkie te prośby wysłuchiwała z wielką pokorą i co było tylko w jej możliwości to wszystko im załatwiała. Chętnie też stawiała się dla nich pośredniczką gdy okazało się że w podróży, którą odbyli zostali gdzieś oszukani. Np. komuś sprzedano „narowistego” konia lub za swojego konia nie otrzymał wszystkich należności, gdyż miejscowa policja wzięła część zapłaty w depozyt. Często nawet sam Komitet angażował się w odzyskaniu zaległych pieniędzy z konta w Zillertalu. Po takich interwencjach zaległe sumy zaczęły coraz częściej trafiać do poszkodowanych lub zaraz deponowane w banku wrocławskim za odpowiednim pokwitowaniem.

Zdecydowana większość czuła się podniesiona na duchu, przez okazywaną im ze wszystkich stron dobrocią i miłością w ich nowej ojczyźnie. Teraz tylko czekali na szczęśliwe i pomyślne rozwiązanie wciąż przeciąganej sprawy osiedlenia. W tej sprawie Tyrolczycy wysłali specjalny list do samego króla.

Minął już prawie rok od osiedlenia w Kowarach, gdy nagle pojawiła się jeszcze jedna bardzo spóźniona wędrowniczka z Zillerthalu. Historia jej emigracji jest bardzo ciekawa i zajmująca oraz znamienna dla ducha i energii ludzkiego gatunku, jak również świadczy o jej religii do której tak była przekonana.

Anna Mayer pochodziła z Vompp w okręgu Schwatz. Od pewnego czasu, jak mówiła, czuła wewnętrzny pociąg do nauki ewangelickiej, podczas gdy jej rodzina tj. rodzice, 4 siostry i brat, była wyznania mocno katolickiego. Ona jednak ciągle rozmyślała, samodzielnie się zapatrywała bardzo pozytywnie w kierunku wiary ewangelickiej, pomimo że jeszcze zewnętrznie dalej należała do wyznania katolickiego.

Od wielu lat samodzielnie zajmowała się sprzedażą własnoręcznie wykonanych towarów. Nie była ona znowu tak bardzo wykształcona, bo przecież umiała już czytać i pisać. Często samodzielnie zagłębiała się w religijne problemy, które nie obce również były jej koleżankom. Podczas wyjazdu wygnańców z rodzinnego Tyrolu w 1837 roku, toczyła ze sobą walkę, aby odważnie zdobyć się na decyzję i publicznie wyznać swoją wiarę, i wprowadzić to w czyn. Bo raz zasiane ziarno w jej sercu pozytywnie zaowocowało.

Paszport do wyjazdu za granicę już dawno posiadała z powodu wykonywanego zawodu i mając już 36 lat postanowiła wybrać się w drogę za innymi. Nawet nie pożegnała się ze swoją rodziną ze strachu, że w ostatniej chwili zabronią jej tego szalonego pomysłu. A oto jak później o sobie opowiadała.

„Mój pierwszy pomysł powstał gdy byłam w podróży do Monachium z pełnym koszem bagażu na sprzedaż, gdzie zatrzymałam się na 9 dni. Później pojechałam do Augsburga, Nordlingen, Gunsenhausen, Norymbergii, Furth, Erlangen, a stamtąd do Kisingen, gdzie przebywałam aż 10 dni. Odszukałam tutaj ewangelickiego kaznodzieję, którego poznałam wcześniej, gdy bywał w Tyrolu. U niego chciałam uzyskać poradę jak podróżować dalej, ponieważ mój paszport ważny był tylko do Bawarii.

Pastor poinformował mnie, że w Kissingen przebywa pruski Generalny Dyrektor Poczty na kuracji kąpielowej, więc on skorzysta z tej okazji i porozmawia z nim w mojej sprawie. Głównym jednak tematem w rozmowie będzie, jak mam dotrzeć do pruskiej granicy. Tak też się stało. Pan Nagler napisał do Sądu Okręgowego, aby załatwić mi wizę na dalszą drogę do mojego paszportu. Zdecydowano, że on wyśle list na granicę, aby mi pozwolono przekroczyć pruską granicę.

Za radą pastora, pozostałam jeszcze kilka dni w Kissingen. Po 9 dniach dostałam list z adnotacją, że tutaj mam otrzymać od pana Nagler zaświadczenie z pozwoleniem na dalszą podróż. Stąd jednak miałam tylko zapłaconą podróż do Sachsen – Meiningen przez pastora z Kissingen i pastora ewangelickiego z Norwegii.

Od tego więc miejsca aż do Erfurtu czyli przez 4 dni całą drogę odbyłam pieszo. Po przybyciu na miejsce udałam się do kierownika szkoły Świętego Marcina z listem, który wcześniej otrzymałam od pastora z Norwegii. Ponieważ nie było go w domu, list dałam jego żonie, która była córką tamtejszego burmistrza. Żona nauczyciela zaprowadziła mnie do swojego ojca, który zaraz poszedł ze mną do pana starosty, aby tam omówić i załatwić wizę paszportową. Starosta przyznał dla mnie wizę, jednak nadmienił, że nie wie czy w Zeitz na granicy będą mi sprawdzać paszport.

Gdy znowu miałam paszport w ręku, udałam się w dalszą drogę do Zeitz, tj. około 3 dni drogi pieszo. Chciałam, aby tutaj sprawdzono mi paszport, jednak odmówiono mi z powodu nieobecności starosty w domu, a ten osobiście musi obejrzeć paszport. Pod wieczór gdy starosta powrócił, przysłał mi wiadomość abym nazajutrz zgłosiła się do niego przed obiadem. On to powiedział mi, że otrzymał list od pana Nagler i mam pozwolenie na wejście do państwa pruskiego. Następnie posłał na policję w celu przejrzenia mojego paszportu i wydania karty wolnego przejazdu.

Zaopatrzona w odpowiednie pozwolenia i dokumenty, dalszą drogę postanowiłam odbyć dyliżansem pocztowym. Jednak po dojściu na pocztę okazało się, że dyliżans już wyjechał i musiałam poczekać tylko 4 dni na jego powrót. Na piąty dzień dyliżansem wyruszyłam w dalszą drogę tym razem do Görlitz – Zgorzelca. Tu zatrzymałam się na 3 dni, aby w Herrnhut tj. 3,5 mili od Görlitz, odwiedzić dobrego przyjaciela, także Tyrolczyka, który od 6 miesięcy już tu zamieszkał. Był on krawcem, a znałam go jeszcze w Schwatzu gdzie przedtem pracował.

Stąd znowu dyliżansem pocztowym pojechałam do Jeleniej Góry na godzinę 10.30 w sobotę. Tutaj dowiedziałam się, że muszę poczekać do poniedziałku aby udać się do Kowar. Ja nie zgodziłam się i z tego powodu zażądali ode mnie kartę, którą zaraz muszę odesłać do Berlina. W niedzielę poszłam więc do kościoła, a następnie postanowiłam udać się w dalszą drogę. Wieczorem doszłam do Kowar i zamieszkałam w gospodzie pod Złotą Gwiazdą. W poniedziałek, wcześniej rano udałam się znowu do Bukowca do pani hrabiny von Reden, która powiedziano mi, że kieruje całą sprawą Tyrolczyków.

Hrabina zatrzymała przy sobie mój paszport i obiecała, że osobiście sama porozmawia w mojej sprawie z burmistrzem. Obiecała, że załatwi mi samodzielne zakwaterowanie w szkole tyrolskiej gdzie zamieszkałam do wtorku”.

Anna prosiła usilnie, aby mogła tu pozostać i aby nauczono ją podstaw wiary ewangelickiej, „abym mogła wreszcie dotrzeć tam, gdzie moje serce od lat tam się rwało, do wolności w studiowaniu wiary”.

W międzyczasie kwestia osadnictwa i postawienia domów stawała się coraz bardziej nagląca. Pieniądzy przeznaczonych na opiekę Tyrolczyków coraz bardziej ubywało. Teraz pomagano tylko najbardziej potrzebującym i najbiedniejszym. Inni otrzymali już z powrotem swoje zdeponowane pieniądze, za które mieli się wyżywić aż do oddania domów. Wszystkim zagwarantowano osiedlenie się w pobliżu siebie – w jednym miejscu, ale gdzie? Ciągłe nie było jeszcze to zdecydowane ostatecznie!

O wyborze terytorium, które pasowałyby wszystkim, opisują sterty akt. Jedno było pewne, osada nie mogła być sporo oddalona od obecnego tymczasowego miejsca zamieszkania czyli od Kowar. W związku z tym z różnych stron przychodziły propozycje do Komitetu. Wielu było chętnych do sprzedaży swojego majątku, aby w ten sposób uregulować swoje zadłużenia, pojawiali się również różnego rodzaju spekulanci, którzy chcieli uszczęśliwić Tyrolczyków swoim kiepskim gospodarstwem za bardzo wysoką cenę. Niektórzy mieli z góry opracowany plan gdzie i jak ich osiedlić, zawsze jednak należało się doszukiwać jakiś podtekstów. Zdecydowana większość otrzymywanych propozycji została przez Komitet odrzucona jako nierealna i nie była zaakceptowana przez samych Tyrolczyków, którzy w tej sprawie chcieli mieć również decydujące zdanie.

Niekiedy Tyrolczycy wysyłali swoje delegacje, aby zorientowali się w proponowanym terenie na miejscu. I tak odrzucili propozycje osiedlania ich w Sobieszowie i w Trzcińsku. Natomiast wiązali spore zainteresowanie z majątkiem pani baronowej von Roth, które z całym inwentarzem zostało im zaproponowane za cenę 26 000 talarów. Drugą ciekawą propozycją były dobra panny Witte, były również chłopskie majątki do oglądnięcia i zdecydowania. Bardzo często na ten temat dyskutowano w niedzielę w kościele po nabożeństwie – jako gminne obrady.

Majątek pani von Roth nie przypadł do gustu, a panna Witte w międzyczasie wyszła za mąż. Ciągłe pojawiał się problem, ile Tyrolczycy przeznaczą swoich pieniędzy na zakup ziemi. Dano im do zrozumienia, że wnet za ziemię będą musieli sami zapłacić.



Pocztówka z 1910 roku, Otto Keil (archiwum Emila Pyzika)

Jeżeli im zabraknie, to będzie im można przyznać pożyczkę. W ten oto sposób wyłoniły się 3 grupy zainteresowanych.

Grupa pierwsza to 33 rodziny z 120 osobami, którzy gotowi byli kupić ziemię za swoje własne pieniądze, ponieważ posiadali 39 279 talarów i oczekiwali jeszcze na pewną kwotę z Tyrolu, którą mieli w późniejszym czasie otrzymać za sprzedane majątki w wysokości 25 325 talarów. Ich życzeniem było nabyć ziemię o powierzchni 755-922 morgi. Druga grupa chciała w zakup włożyć tylko pewną kwotę swoich pieniędzy, zaś pozostałe środki chcieli uzyskać z państwowej kasy, o udzielenie im pożyczki, którą w późniejszym czasie zobowiązywali się spłacić. W skład tej grupy wchodziło 42 rodziny czyli 121 osób. Ich życzeniem było uzyskać 573-680 morgów ziemi. Trzecią grupę stanowiło 8 rodzin z 44 osobami. Oni to chcieli kupić parę morgów ziemi na roczny procent w ilości 70-88 morgów.

Wszystkie 3 grupy to 83 rodziny składające się z 295 osób, które posiadały majątek oceniany na 51 360 talarów, zaś przy sobie mieli 43 490 talarów, za co zdecydowani byli kupić ziemię o powierzchni 1 396-1 690 morgów.

Wreszcie został sporządzony wykaz, kto życzy sobie posiadać chłopską gospodarzkę, kto chciał tylko dom, kto chce być tylko rzemieślnikiem bez ziemi lub innym pracownikiem. W końcu, po długich dyskusjach i rozważaniach co i gdzie ma powstać, zdecydowano się osiedlić w dominium Erdmannsdorf i w sąsiedniej Sosnowce. W końcu powstał ostateczny plan, który zaczęto realizować.

Proponowane części gruntów miały powierzchnię 1 616 morgów pól uprawnych i łąk oraz 156 morgów lasów. Tyrolczycy twierdzili, że bez lasów oni nie mogą egzystować. Za te posiadłości zażądano 32 878 talarów. Z przedłożonych aktów nie widać dokładnie ile rzeczywiście wynosi całkowita kwota, jak również jak duży był zakupiony areal ziemi. Możemy tylko przyjąć przybliżoną wielkość gruntów jako 1 550 morgów, a mianowicie w Środkowym Zillertalu – 895 morgów, Górnym – 305 morgów i Dolnym – 350 morgów.

Rząd pruski zgodnie z życzeniem Tyrolczyków dołożył do zakupu gruntów i budowy domów 18 500 talarów. Suma pieniędzy, którą z góry zatrzymano ze środków zdeponowanych po przyjeździe do Kowar, wynosiła 10 063 talarów, podczas gdy wcześniej pobrano 42 567 talarów na bieżące wydatki.

Ogólnie biorąc można powiedzieć, że zakup ziemi poszedł gładko, jeżeli akta nawet o tym mało mówią. Zaś negocjacje znajdują się w aktach hipotecznych i w posiadaniu poszczególnych rodzin. Każda rodzina określiła jak wielką życzy sobie posiadłość, ile pól, łąk i lasów oraz jak wielki zadatek była w stanie wpłacić.

Po tych wszystkich wypowiedziach i życzeniach, odbył się podział pod osobistym kierownictwem naczelnego prezydenta. Naczelnik urzędu prowadził specjalną transakcję podziałów o której niekiedy decydowały losy. Dnia 4 lipca 1838 roku pomiar i rozdział gruntów na terenie Erdmannsdorf został zakończony. Trzy dni później, odbyło się przekazanie protokołu kupna i sprzedaży. Szybko wytyczone zostały poszczególne granice, rozdano graniczne kamienie, wyznaczono drogi i ustalono gdzie będą łąki.

Tak więc kto sobie tego życzył otrzymał kawałek ziemi, który teraz nazywał swoją własnością i maleńką ojczyzną. Największy areal jaki przydzielono Tyrolczykom wynosił 50 morgów, zaś najmniejszy tylko 6 morgów. Teraz pozostała tylko jeszcze jedna ważna sprawa – budowa domów tyrolskich. Wprawdzie na zakupionych gruntach stały już jakieś chaty i domostwa czy nawet obory, jednak w zdecydowanej większości były to stare zabudowania nie nadające się do zamieszkania.

Z tego powodu podjęto decyzję, że 12 domów zostanie od podstaw naprawione, zaś w pozostałych miejscach miały powstać nowe domy. Gospodarze – chłopci domagali się dla siebie 25 domów w tym 9 małych, 11 średnich i 5 podwójnych. Druga grupa wniosowała o 32 domy w tym 15 małych, 8 średnich i 9 podwójnych. Grupa trzecia miała otrzymać 6 prostych domów, 1 średni. Tak więc wszyscy otrzymali 64 domy różnej wielkości, których koszt chciał pokryć rząd.

W związku z tym budowniczowie i technicy opracowali odpowiednie plany zatwierdzone przez wysoką Komisję. Na samym początku miał być postawiony „dom próbny”, który wyliczono na kwotę 2 500 talarów. Po postawieniu okazało się, że cały jego koszt wyniósł 1 687 talarów, czyli zaoszczędzono 822 talary 1 grosz srebrny i 4 fenigi. W ten sposób każdy mógł się przymierzyć finansowo do swojego domu.

Ten „próbny” – pierwszy dom miał wymiary: długość – 74,5 stopy = 22,7 metra, szerokość – 34,5 stopy = 10,51 metra. Pierwsze piętro wysokość – 5,5 stopy = 2,59 metra i miało zostać wykonane z kamienia łamanego, drugie piętro miało mieć 7,5 stopy = 2,28 metra i być wykonane z muru pruskiego. Dach był kryty gontem oraz dwie strony ściana szczytowa i fasada z balkonem. Ściany działowe pomiędzy pomieszczeniami mieszkalnymi a oborą wykonano z murowanej cegły o grubości 1-1,5 stopy = 0,45 metra. Na dach położono 10-14 bali na których ułożono kamienie. Na razie postawiono 54 domy do zamieszkania.

Prace murarskie i stolarskie wykonywano bardzo szybko, jak na akord. Do 1 października miało być już wszystko gotowe i nawet w gazetach wcześniej to ogłoszono. Napisano również, że prace z dostawami powierzone zostaną najmniej żądającym za usługę. Było 6 mistrzów murarskich, 6 stolarzy, 3 dostawców wapna, 8 dostawców desek, 13 dostawców kamieni, gliny i piasku itp.

Johann Fleidl zobligowany został wybać u swoich towarzyszy jaką chcą mieć długość, szerokość, wysokość izb, komórek, spiżarni i obory – które podali na 14-16 stóp = 4,26-4,87 metra, tylko jeden życzył sobie 18 stóp = 5,48 metra, natomiast wszyscy położyli nacisk na prace gospodyń domowych dla których kuchnia musi być odpowiednio wielka, obszerna i wysoka której wysokość powinna być 7 stóp = 2,13 metra. Owce miały przebywać razem z krowami, tylko świnie musiały mieć oddzielne pomieszczenie tzw. kojce.

Wreszcie rozpoczęto budowę, zaś naczelné kierownictwo przypadło królewskiemu budowniczemu – rządowemu Deltze, rysunki nadesłał budowniczy Frey, budowę kierowało dwóch szefów. Do nadzoru mianowano różnych przedstawicieli aby nadzorowali prace Tyrolczyków. Zaczęło się zwożenie, kopanie, klepanie i stukanie dzień i noc. Przy

budowie pracowało 421 stolarzy, 187 murarzy którzy pracowali codziennie. Wśród fachowców było też sporo Tyrolczyków. Inni zaś dawali swoją siłę w kamieniołomach. Drzewo miało być wzięte z królewskich lasów, lecz w skutek sprzeciwu naczelnego leśniczego z tego pomysłu zrezygnowano. Teraz kupowano drzewo w lasach prywatnych jak np. z dominium folwarku Buscha, ze Staniszowa itp.

Przyszli właściciele domów pilnie kontrolowali każdą robotę oraz popędzali murarzy i stolarzy. Bardzo często dochodziło do sprzeczek z szefami. Nawet doszło do tego, że jeden z szefów domagał się ukarania jednego z Tyrolczyków za jego nieodpowiednie zachowanie i ciągłe przeszkadzanie w ich pracy. Tyrolczyk tak się rozsierdził, że oświadczył, iż nie chce tak wykonanego domu. Pani Reden zawezwała go przed swoje oblicze i odpowiednio go upomniała po matczynemu. Szefa zaś poinformowano, że wyciągnięto względem Tyrolczyka odpowiednie konsekwencje.

Istny atak nastąpił gdy doszło do stawiania pieców. Pierwszy postawiono według pruskiego wzoru i tradycji, oni jednak zażądali styl tyrolski. Ich piece według zdania fachowców były o 15 srebrników droższe, ale rzeczywiście gorsze. Sprawa dotarła oczywiście do Komitetu, który spór przechylił na korzyść lepszych i tańszych oraz naprawdę praktyczniejszych. Dopiero wtedy wybuchła mała rewolucja, koloniści wykazali taką postawę jak nigdy dotąd i zagrozili że udadzą się do samego króla pruskiego. A ten zapewne ich poprze i nakaże postawić takie piece jakie mieli w Tyrolu. Oczywiście takie



Pocztówka (archiwum Emila Pyzika)

zagrożenie musiało pomóc i wszyscy przeciwnicy ustąpili. Ich piece zajęły prawie całą izbę i zamiast 52 kafli, składały się z 62 kafli.

Inne zasadnicze pytanie wiążące się z poprzednią sprawą dotyczyło ław i rusztowań z pryzami do spania dookoła pieca. Taki wymysł pociągnął za sobą jeszcze większy wydatek 229 talarów, 18 srebrników i 4 fenigi. Oni jednak od tego pomysłu nie chcieli odstąpić. Pomysł ten też doprowadził do konfliktu z urzędem budowlanym, ale Tyrolczycy i tym razem postawili na swoim i nie ustąpili.

Mimo, że już był 1 października 1838 roku, to jeszcze żaden dom nie był gotowy. Nie pomagały wszelkie przestrogi i groźby ze strony rządu. Pod koniec każdego tygodnia musiały być wysyłane raporty na wszystkie możliwe adresy o stanie i postępie robót budowlanych. Sporo do tych opóźnień przyczyniły się strajki robotników, którzy bardzo często pod koniec tygodnia jeszcze nie odebrali wynagrodzenia. Przyczyną takiego stanu rzeczy było to, że pieniądze nie nadchodziły systematycznie, albo wynagrodzenie było zbyt małe i dlatego żądali większego, a może chcieli więcej wymusić w takiej pilnej sprawie.

W końcu nadeszła ostateczna decyzja z góry – ostatecznie do 28 listopada wszystkie domy muszą być gotowe pod każdym względem. W tym czasie wyczerpał się również całkowicie ryczałt na wyżywienie biednych osadników, zdarzały się również częste nocne włamania do na pół wykończonych domów. W następstwie takiej sytuacji, w poszczególnych domach wykańczano to co jest najpotrzebniejsze i potrzebne już do zamieszkania, a pozostałe rzeczy miano wykańczać w późniejszym czasie.

Pierwszy dom został oddany do zamieszkania 6 listopada 1838 roku dla Andrzeja Schiestle. W wielu domach potrzebne były jeszcze wykończenia już po wprowadzeniu. Górne piętra zostały przygotowane do zamieszkania. Jeżeli rodzina była zbyt liczna to zamieszkiwała również na dole. Niekiedy w piwnicach pokazywała się woda, którą należało odprowadzić przez drenaże na zewnątrz, a te przecież nie były przewidziane tak w finansach, jak i w robotach.

Do ostatniego listopada stanęło dopiero 45 domów, zamiast zaplanowanych 54. Kompletny budżet po dokonanej rewizji przez Deltza z 98 000 talarów wydano 86 400 talarów. Wybudowano 11 podwójnych domów które oszacowano na kwotę 20 3500-21 450 talarów, 10 średnich domów na 16 500-17 500 talarów, 26 małych domów na 15 600-18 200 talarów. Ogólny koszt tych domów kształtował się na sumę 52 400-57 150 talarów. Domy te postawiono w Mysłakowicach: budynek próbny – późniejsza gospoda (pod kasztanami), dalej kolejne numery do 37; (2,3 i 17 na ul. Kowarskiej – Godebskiego, 4-14 przy alei, 15-18 niedaleko stawów ul. Stawowa, 19-21 i 25-28 przy granicy z Miłkowem może ul. Wojska Polskiego, 22-24 na nowym głównym gospodarstwie, 29-36 Czerwony Folwark – ul. Czerwony Dworek, 37 w pobliżu majątku średniego dworu, dom w górnej wsi i szkoła, w Sosnówce 1-8 przy ulicy do Miłkowa.

Do tego doszły jeszcze inne wydatki jak utwardzenie drogi, praca dla pracowników, diety itp. Wnet okazało się, że liczba tych domów jest niewystarczająca, czyli pracę musiano przeciągnąć na całą zimę, był to tak zwany drugi okres budowy, w której usta-

lono budżet na 21 000 talarów. Ale tutaj również można było nieco zaoszczędzić, tak że wydano 18 677 talarów, co pozwoliło na wybudowanie dalszych 12 domów. Pełna liczba posiadłości z należącymi do nich domami wyniosła 57. Dla kowala Hechenleitera przygotowano kompletnie wyposażoną kuźnię, pozostałe domy zostały umeblowane.

Stopniowo, bez żadnych szczególnych uroczystości, przepychu i przemówień oddawano kolejne domy do zamieszkania i wreszcie nastąpiło wprowadzenie się Tyrolczyków do tak oczekiwanych domów w nowej ojczyźnie. Całe osiedlenie zajęło prawie 3 kwartały. Niekiedy zdarzały się jeszcze pewne niejasności, które łągodził miejscowy sąd.

Kontrakty kupna kawałków ziemi były dokumentowane przez odpowiednie urzędy, najpierw przez urząd w Erdmannsdorf, a później wszystko przekazywano ministrowi Rotherowi. Nowym właścicielom podano postanowienie, że w ciągu najbliższych 20 lat mogą sprzedać swą posiadłość tylko Tyrolczykowi. Niekiedy dochodziło do różnych roszczeń ze strony członków rodzin, które pozostały w Tyrolu. Już po osiedleniu niektórzy bardzo się burzyli i żądali zwrotu paszportów.

Latem 1839 roku nastąpił koniec przesiedlania, wszyscy Tyrolczycy zostali zakwaterowani i Komitet w Kowarach wreszcie został rozwiązany i stracił swoje prawa. Król osobiście rozwiązał Komitet i Komisje 4 lipca 1839 roku. Podczas tego ogłoszenia, król w bardzo ciepłych słowach podziękował wszystkim tym, dzięki którym sprawę przesiedlenia Tyrolczyków doprowadzono do szczęśliwego zakończenia.

Według danych budżetu wydano na zaopatrzenie – zakwaterowanie i wyżywienie 22 500 talarów, na budowę domów 119 000 talarów. W efekcie końcowym król zlecił wydać dla nowych mieszkańców aż 141 500 talarów. Nie bierze się tu pod uwagę zaciągniętych zaliczek. W tym przypadku każda przybyła osoba z Tyrolu kosztowała królewski budżet 350 talarów. Zamieszkali w Erdmannsdorf teraz uchodzący podporządkowani zostali właściwym urzędom, a wszyscy razem ministrowi Rotherowi, który zamieszkał na Czerwonym Dworku.



Pomnik Tyrolczyków
(*fol. Krzysztof Tęcza*)



Tablica pamiątkowa z pomnika Tyrolczyków
(*fol. Krzysztof Tęcza*)

Zillerthal w Erdmannsdorf (Mysłakowice)

Nowa kolonia Tyrolska składała się z III oddzielnych części, które wprawdzie noszą wspólną nazwę Zillerthal, lecz jeszcze posiadają dodatkowe określenia związane z położeniem. Część należąca do Sejdorf – Sosnówki z 10 domami otrzymała nazwę Hohen Zillerthal – Zillerthal Górny albo Wysoki. Osada ta należy do miejscowego okręgu sądowego w Sosnówce. Część należąca do Erdmannsdorf liczyła 16 domów i została nazwana Nider Zillerthal – Zillerthal Dolny. Centrum kolonii nazwano Mittel Zillerthal – Zillerthal Środkowy, lub Zillerthal. Osada ta ma własną jurysdykcję oraz sołtysa ze swojego środowiska. To właśnie tą kolonią będziemy się dalej zajmować i będziemy po kolei śledzić jej losy i historię.

Domy tyrolskie leżą w środku całej posiadłości, są otoczone polami i ogrodami które do nich należą. Przy budowie ich domów kierowano się zasadą, aby wszystko jeżeli to jest możliwe, postawić pod jednym dachem. W takim domu było mieszkanie, stajnia i stodoła. Wszystko to razem tworzyło jeden wielki budynek mieszkalno-gospodarczy. Sam wygląd zewnętrzny zdradza obcy na tym terenie styl budownictwa. Zabudowa drewniana, krużganek i balkon dookoła, małe okna, długi dach i rzeźbienia w różnych miejscach.

Różnica w nazwach poszczególnych części, nie pochodzi, jak to często można przeczytać od tarasowo położonych kolonii bo one mniej więcej leżą na podobnej wysokości, na jednakowej płaszczyźnie.

Przy wejściu do dużej kolonii dla dowolnego przybysza, jawi się pierwszy dom po lewej stronie drogi, na którego balkonie znajduje się ciekawy napis bardzo zgrabnie wycięty dużymi literami, stanowiący niejako motto kolonii „**Boże błogosław króla Fryderyka Wilhelma III**”. Drewniane balkony na każdym domu ciągną się wzdłuż trzech stron domu, dalej znajduje się właściwa zabudowa mieszkalna, która zajmuje najmniejszą część całości. Drugą większą część zajmuje stajnia i stodoła.

Jeżeli wstąpimy do takiego domu, to zobaczymy że taka zabudowa w większości przeznaczona jest dla jednej rodziny. Najpierw wejdziemy z podwórka do sieni, gdzie zwykle po lewej lub prawej stronie znajduje się wielka ogrzana izba mieszkalna dla całej rodziny gdzie skupia się całe jej życie. W kącie znajduje się potężny piec, który zajmuje dużo miejsca oraz stanowiący podczas budowy wielki obiekt sporów i nieporozumień pomiędzy budowniczymi a Tyrolczykami. Po bokach pokoju znajdują się duże drewniane ławy i najpotrzebniejsze domowe sprzęty dookoła odpowiednio rozstawione.

Do tej największej izby przylega sypialnia, która oczywiście nie posiada żadnego pieca, bo Zillerthalczycy są przyzwyczajeni do spania w zimnym pomieszczeniu. W sieni, w której byłoby ciemno, wycięto dwie okrągłe dziury do patrzenia zamiast okien. Stąd po paru stopniach w dół wchodzimy do piwnicy, gdzie znajduje się również obszerna kuchnia a obok mała spiżarnia. Z sieni, również prowadzą schody w górę na pierwsze piętro, gdzie właśnie nad tą dużą izbą znajduje się też duże pomieszczenie, jest to pokój dla dziewczek. Również i ten pokój prawie zawsze nie był ogrzewany. W tym

poкою zapewne wpadnie nam w oko wypchana „kozica”. Na górze również znajduje się korytarz, identyczny jak na parterze z dwoma wyciętymi dziurami na pole.

Z tego korytarza prowadzą drzwi na przyjemny balkon, który nie tylko jest ozdobą domu z zewnątrz, ale ma także praktyczne znaczenie. To właśnie domowa gospodyni praktycznie i dobrze go wykorzystuje jako suszarnie dla upranej bielizny. Suszyć tu można również w zimie i jesienią, gdyż balkon osłania duży dach.

Wracając z powrotem do korytarza na piętrze, z prawej strony otwiera się drzwi prawą ręką, po przeciwnej stronie izby służących dziewczek, drzwi prowadzą do stodoły. Stodoła składa się z dwóch części, w jednej trzyma się zboże a w drugiej siano. W środku zostawiona jest przestrzeń na wjazd wozu z końmi z podwórka na piętro, bezpośrednio po specjalnym podejździe. Konie muszą tu mocno ciągnąć wóz bardzo stromo w górę. Zboże może być tu zsypywane z góry.

Dalej obok stodoły położone są stajnie oczywiście na parterze. Na podwórku wokół wielu domów można zaobserwować ładnie porąbane i dokładnie ułożone drewno na opał do wysuszenia, a które przy okazji ociepla budynek mieszkalny. Po wielu latach można było już zobaczyć masywne domy, oddzielone już stodoły i stajnie. Ale jak na razie wiele z nich w takiej, a nie innej postaci przetrwało wiele lat, a nawet do dnia dzisiejszego.

W swoich domach na które tak mocno oczekiwali, powoli zaczęło się codzienne życie, a oni sami zaczęli solidnie i ochoczo pracować dla dobra rodziny. Nie brakowało tak ochoty, jak i sprawności, a także potrzebnych do tego środków. Jak już wcześniej pisano rzadko który przybył pod Karkonosze goły finansowo. Ostro z kantu zabrali się za robotę, inwentarz i cały możliwy i potrzebny sprzęt, zaczęli nabywać pola i je uprawiać, aby zapracować na pomyślną przyszłość.

Jeszcze w Kowarach przez cały rok żyli beczynnie, musieli sobie szukać zajęcia nie zawsze ich interesującego, to teraz prawie każdy zajął się rolnictwem. W Górnym Zillerthalu niektórzy zajęli się ogrodnictwem i to z wielkim sukcesem. W gospodarce mlecznej stali się prymusami i mogli być dla prusaków przykładem do naśladowania. Ich ziemie w większości składały się z łąk, zajęcie pastucha w Tyrolu było im znane od samego dzieciństwa, tak że na nowym terenie nie mieli z tym żadnego kłopotu.

Trzymali więc krowy, które dawały dużo mleka, a z mleka wyrabiali masło i ser. Wraz z założeniem nowego gospodarstwa byli przykładem czystości i porządku na zagrodzie. Sprzęt do mleka czyli wiadra i kubły cieszyły oko swą czystością. Nic więc dziwnego, że ich hodowla oraz mleczarnie zdobyły na tym terenie dużą sławę i stały się godne naśladowania przez miejscowych gospodarzy.

Również poza granicami Zillerthalu w sąsiednich wioskach przejęli w dzierzawę mleczarnie, niekiedy o znacznej wartości. Ich przykład wzorowego mleczarza i serownika rozniósł się nawet na sąsiednie prowincje. Właściciele ziemscy i fabrykanci zaczęli zatrudniać Tyrolczyków w swoich włościach jako dobrych „serowników” bo okazało się, że oni znali się najlepiej na tym rzemiośle. Zaczęły również powstawać nowe filie mleczne i przetworów prowadzone przez przybyszy z Tyrolu. Ich zasada przy wypasa-

niu była i owiec jest bardzo prosta, przestrzegają tego by liczba krów odpowiadała zgromadzonej samodzielnie dla nich paszy. Nigdy nie korzystali z cudzego siana.

Jeden z gospodarzy, który ma najlepszą gospodarzkę posiada na swoich 44 morgach: 14 morgów łąk, 9 krów, 2 woły i parę cieląt. Tutaj orze się przeważnie wołami, konie widzi się raczej rzadko. Biedniejsi gospodarze orzą i zwożą krowami.

W wielu przypadkach po prawie 38 latach po przybyciu, w tych samych domach żyją te same rodziny. Niekiedy ziemia została odziedziczona przez dzieci i ich współmałżonków, rzadko kiedy została sprzedana, bo tego zakazywała wcześniej wprowadzona odpowiednia ustawa.

Ci którzy przybyli tu przed laty, a teraz są już w sędziwym wieku, przekazali swoim dzieciom i następcom nie tylko majątek, dom i zwierzęta, lecz przede wszystkim wspomnienia ze swojej starej ojczyzny. Dawne obyczaje, sposób mowy, sposób ubioru, regionalną gwarę, kulturę oraz sposób śpiewania. Od razu można tu zauważyć stare mateczki w poważnym wieku kobiety kroczące w wysokich tyrolskich kapeluszach filcowych na głowie. Nie tylko starzy ludzie dochowali wierności obyczajom i strojom narodowym, młodzi przejęli po nich te ubiory które niekiedy wkładają na siebie.

Te kapelusze z filcu, ze złotymi frędzlami, to nawet dzisiaj tj. w 1878 roku sprowadza się prosto z samego Tyrolu. Noszą je nie tylko kobiety i mężczyźni, ale również młodzież, a nawet dzieci. Inną osobliwością u mężczyzn, jest szara kurtka z zielonym sznurem, czerwone szelki, jednak one niekiedy są schowane i przez to niewidoczne pod często noszoną kamizelką. Szczególnie charakterystyczny jest szeroki pas na brzuchu, który bardzo często jest wyszyty przez ukochaną osobę. Zaś napisy na nim są różnora-kie i ciekawe np. nazwisko właściciela, patriotyczne słowo, „Niech żyje król”, wesołe zawołanie np. „Zawsze wesoły”, lub inne słowo określające dobitnie daną osobę. Z dolnej części stroju np. z krótkich spodni Tyrolczycy szybko zrezygnowali ze względu na to, że tu jest o wiele zimniej. Dlatego wnet się przyzwyczaili do tutejszego wiejskiego ubioru, który okazał się i praktyczny i ciepły. Tamte ubiory, choć nie używane leżały w wielkim poważaniu w skrzyni.

Kobiety bardziej podążające za modą niż mężczyźni, już w obawie przed drwinami nowych rodaczek, zaaklimatyzowały się jeszcze szybciej. Ojczysty strój wcześniej odłożyły i zamieniły go na strój tutejszych sąsiadek. Tylko podczas szczególnych okazji, wyciągały ze skrzyni te krótkie suknie z aksamitnym czarnym stanikiem. Równie szyb-



Król Fryderyk Wilhelm III.
(archiwum Emila Pyzika)

ko jak strój regionalny, zmieniły się też stare przywiezione ze sobą obyczaje. Znowu obowiązuje tutaj zasada, którą u wszystkich kolonistów masowo znajdziemy, że przy uroczystych okazjach, podczas uroczystości bardzo ważnych dla Tyrolczyków, gdzie należy wspomnieć strony ojczyste, wkłada się dawne stroje.

Na wesela zapraszają gości w narodowych ubiorach, liczny uroczysty pochód z muzyką kieruje się do kościoła. Wówczas jeszcze można usłyszeć, przede wszystkim dobrze znane jodłowanie, lub naśladujące go wesołe okrzyki. Wówczas także, zostaje pokazany największy przepych odświętnych strojów. Kiedy umrze członek rodziny, wówczas objawia się u nich, rzadka na pierwszy rzut oka, prawie obca, chłodna kalkulacja ekonomiczna, aby umarłego z jak najmniejszym zbytkiem pochować. Więc zmarłego chowają jak najmniejszym kosztem, w tanim ubraniu. Natomiast ci którzy chcą umarłego godnie i bogato ubrać, narażeni są na kpiące obgadywanie i naganę, a jednak tych ludzi nie uważa się bez czci i serca. Jest to po prostu, spokojny i trzeźwy sposób chłopskiego myślenia. Chować należy skromnie i praktycznie.

Na ich stołach nie goszczą szczególnie potrawy jak „pączki”, które uważają za swoją narodową potrawę, nie są wcale tyrolskie lecz zgoła śląskie. Obyczaj, który można Tyrolczykowi przypisać, to rezygnacja w niedzielę ze szczególnie dobrego obiadu. A to ze względu na panią domu i czeladź, aby mogli ten dzień uroczyście święcić. Dlatego materialne i kulinarne smakołyki przekładają na sobotę.

Obecnie już niewiele można u nich znaleźć z dawnych starych obyczajów i przekonań, już się one gdzieś ulotniły. Powoli lecz systematycznie zacierają się różnice dzielące tubylców od przybyszów. Najmniej udaje się to z językiem. Jest ciężko a prawie, że niemożliwe, wyćwiczyć dialekt i kiedy nawet najzdolniejszemu wydaje się że go opanował, nagle zaskakuje go niezliczona ilość niemieckich słów, wówczas zdradza swemu nic nie domyślającemu się rozmówcy i nie daje się ugasić płomień ojczystego dialektu.

Dla kolonistów, mowa jest za każdym razem sprawdzianem, jak daleko Tyrolczycy są świadomi swego pochodzenia, swojej odrębności. Może wciąż czują się jak gdyby byli na obcą ziemię przeflancowani jak ziarno ryżu. Tak mówią właśnie Tyrolczycy w śląskim Zillerthalu że jeszcze dobrze znają swój ojczysty dialekt, ale również już przyjęli śląską mowę. Ale gdy mówią szybko swoim tyrolskim dialektem, to dla nieobytego z nimi słyhać tylko różne słowa bez najmniejszego zrozumienia treści i sensu zdania.

Pozostała im jednak dawna, duża ochota do śpiewania, żartobliwe i różne pieśni w formie jodłowanej są im nadal bardzo bliskie. Znają oni różne pieśni, które tylko w niektórych górskich i alpejskich dialektach można jeszcze usłyszeć. Posiadają też niektórzy nawet książeczki z pieśniami opowiadającymi o ich starej ojczyźnie, która tu pod Karkonoszami niekiedy jest wspominana. Czasami można też usłyszeć stare porzekadła np. „Gdy rano pada to gryzą się psy wieczorem” lub „Poranny deszcz i stare babskie śpiewy nie trwają długo”.

O tym, że stara mowa tyrolska jeszcze przetrwała do naszych czasów, to niemała też zasługa tutejszej szkoły. Kolonia, która jest naprawdę religijna przecież nie posiada własnego kościoła, dlatego głównym ośrodkiem życia religijnego i kulturalnego jest tutej-

sza szkoła. To tu odbywają się główne zebrania i narady Tyrolczyków. Szkołę otrzymali w pierwszym roku osiedlenia tj. w 1838. To rząd ustalił jej założenie i otwarcie na dzień 17 grudnia. Szkoła liczyła od powstania do 1874 roku aż 470 uczniów.

W obszernej, szkolnej, wielkiej izbie jakby czas się zatrzymał, wszystko przypomina dawne czasy. Oczywiście najpopularniejszą figurą jest tu postać króla Fryderyka Wilhelma III, która wisi na ścianie jako obraz wielce czczony i szanowany.

Od wczesnej młodości dzieci z Zillerthalu są wychowywane we wdzięczności dla królewskiego domu, a przede wszystkim dla dobroczyńcy i fundatora kolonii. Wisi tu również portret Tyrolczyka Johannes Fleidla, człowieka, który odegrał podczas emigracji wielką rolę, tu wisi jako wieczna pamiątka o jego czynach.

W szkole zachowuje się również obraz dawnej ojczyzny z austriackiego Tyrolu, jako pamięć pełen smutku dawnych ojczystych stron, który niegdyś ich ojcowie oglądali w oryginale. Nic więc dziwnego, że wielu z nich od tego starego obrazu ojczyzny nie może się oderwać. Dzisiejszy nauczyciel, który wprawdzie nie jest Tyrolczykiem, ale podczas swojej już 25-letniej pracy okazał dla nich wielkie zrozumienie i zdobył ich całkowite zaufanie. W szkole nie dopuszcza się do wytępienia wspomnień o dawnej innej i starej ojczyźnie. Nawet obecne dzieci, pod kierunkiem swojego wychowawcy śpiewają stare tyrolskie i kościelne pieśni, i melodie jak np. „O gdybym miał tysiąc języków”, „Kto poddaje się woli ukochanego Boga”, „Jak mam Cię przyjmować”, „Jezu Twoje głębokie rany”, „Poleć swoje drogi” i wiele innych, dobrze znanych kościelnych melodii.



Pocztówka z 1920 roku (archiwum Emila Pyzika)

Te pieśni są ćwiczone w szkole z naszymi dziećmi oraz są śpiewane w rodzinnych domach tyrolskich. Ponieważ Tyrolczycy nie posiadają swojego kościoła, lecz wspólnie uczęszczają do Domu Bożego ze Ślązakami, więc nie mogą swoich pieśni dalej rozpowszechniać.

Podczas jednej z ostatnich wizytacji w szkole wszystkie dzieci, tzn. chłopcy i dziewczęta, pojawiły się w narodowych i ludowych strojach tyrolskich. Kto te dzieci w szkole choć raz widział i w czasie lekcji obserwował, ten musi zgodzić się ze słowami oddanego im nauczyciela, że „ich śpiewanie jest czyste, oko uważnie skierowane jest na nauczyciela, ich wymowa wyrazista, a poznanie wiedzy gruntowne”.

Tu w szkole wisi jeszcze jeden obraz, jest to młodzieniec ze wsi, w ludowym stroju tyrolskim. Jak podaje opowieść może 10 lat temu, gdy następca tronu księżę Fryderyk odwiedził ich wioskę i naturalnie wstąpił do szkoły, wtedy wpadł mu w oko, ładny blond włosy chłopiec o błyszczących oczach, swobodnym i śmiałym spojrzeniu, a jednak skromnym usposobieniu. Księżę porozmawiał z nim, wypytał go o różne rzeczy, następnie podniósł go do góry i mocno ucałował.

Gdy dorósł, to z innymi Tyrolczykami brał udział w wojnie z Francuzami i według zdania jego towarzyszy był „tym wybranym i poświęconym”, aby polec na polu chwały i walki koło Sedanu. To jemu było dane, aby dla swojej nowej ojczyzny przypieczętować swój patriotyzm śmiercią. Proste i skromne są słowa, które mu na pomniku upamiętniającym miłość rodaków lub, jak to się obecnie nazywa, na pomniku chwały zadedykowane zostały przez jego nauczyciela.

Pomnik chwały dla Johannesa Hirner (tu znajduje się jego zdjęcie) **urodzony 26 lipca 1849 roku, syn właściciela posiadłości Józefa Hirnera, uczęszczał do szkoły tyrolskiej w latach 1855-1863. Gdy w roku 1859 dnia 19 września jego księżęca wysokość z następczynią tronu jego żoną Wiktorią, zaszczycił odwiedzinami naszą szkołę itd. (...)** tu następuje już opowiedziana historia.

W roku 1869 wstąpił jako strzelec do 5 zgorzeleckiego batalionu strzelców i jako taki brał udział w wojnie przeciwko Francji. Pożegnanie ze swoją matką odczuł bardzo ciężko, jednak zawsze był wierny nałożonym na niego obowiązkom i radośnie przyjmował swój los żołnierski. Nigdy w swych listach z Francji do matki nie skarżył się na warunki wojenne. Dnia 1 września 1870 roku otrzymał w bitwie pod Sedanem strzał w lewe oko i padł ze słowami „**Panie dopomóż!**” Jego koledzy śpiewali nad jego grobem piękne pieśni. Tak ofiarował mu anioł śmierci w środku bitwy pocałunek pokoju. Bądź wierny aż do śmierci, a ja ofiaruję ci koronę wiecznego życia. Pomnik, ufundowano dnia 22 marca 1872 roku.

Mało wiadomo o jakiejś historii z życia koloni tyrolskiej. Jest ona bardzo prosta i przemija w jednakowo brzmiących słowach. Zaraz po osiedleniu się na stałe, rozwinął się trwały stosunek nowopruskiego obywatelstwa do ojczyzny. Wioska nie była bogata w wydarzenia, bez żadnych szczególnych sytuacji. Ludzie płacą swoje podatki i sumienie spełniają swój obowiązek służby wojskowej. Jeżeli chodzi o wysokość podatków, to wszyscy Tyrolczycy właściciele majątków płacą razem 162 talary, 2 srebrne grosze

i 3 fenigi podatku gruntowego, 44 talary 6 srebrnych groszy podatku od domów i 155 talarów podatku klasowego, tak że suma tych trzech podatków wynosi 361 talarów, 8 srebrnych groszy i 3 fen.

Z tego Środkowy Zillertal – 101 talarów podatku gruntowego, 25 talarów 24 srebrnych groszy – podatku od budynków, 85 talarów klasowego. Dolny – 29 talarów 11 srebrnych groszy i 5 fenigów podatku gruntowego, 11 talarów i 12 srebrnych groszy podatku od budynków, 51 talarów klasowego. Górny – 31 talarów 20 srebrnych groszy i 10 fenigów podatku gruntowego, 7 talarów od budynków i 19 talarów klasowego.

Co się tyczy służby wojskowej, król Fryderyk Wilhelm III, zaraz po założeniu kolonii zarządził, dekretem z dnia 20 września 1838 roku, aby zdolni do wojska Zillertalczyki odbywali służbę od roku 1839 w Görlitz jako strzelcy. Chyba, że chcą służyć pod inną bronią, ale z domu swojego już wynieśli należyte posługiwanie się strzelbą. Również odznaczają się pewną zręcznością w obchodzeniu się z nią oraz świetnie się prezentują, co chętnie jest widziane przy posługiwaniu się tą bronią. W dzisiejszym czasie mężczyźni służą również jako artylerzyści lub nawet w innych formacjach.

Warunki szkoły znacznie się poprawiły ponieważ została ufundowana szkolna kasa zapomogowa, do której Tyrolczycy sami dobrowolnie wnosili wkład. Równocześnie dla jej dobra również dokładała się gazeta Rheinwalda.

Ważnym momentem dla nowej kolonii było to, że w bezpośrednim sąsiedztwie powstała Wielka Przędzalnia Lnu. Najpierw należała do Urzędu Morskiego, a później przeszła w ręce Towarzystwa Akcyjnego. W następstwie utworzenia fabryki, powstało dla robotników 10 nowych – kamiennych domów na gruncie Dolnego Zillertal.

Proporcja domów dla kolonistów wraz z przyległymi posiadłościami i osiadłych w nich rodzinach z biegiem czasu ułożyła się następująco:

- Zillertal Środkowy – 31 rodzin i 39 domów, Mysłakowice.
- Zillertal Dolny – 11 rodzin i 16 domów, Mysłakowice.
- Zillertal Górny – 7 rodzin i 10 domów, Sosnówka.

Środkowy Zillertal jest wiejską gminą, składającą się 436 osób, 31 posiada ziemię i grunty. Rodziny tyrolskie składają się z 30 mężczyzn, 33 kobiet, 33 synów, 51 córek, wszystkich razem jest 147 osób, bez służących. W przyszłości 8 starych posiadłości tyrolskich przeszło w obce ręce, 6 rodzin mieszka tu jako lokatorzy, powstały dwie nowe masarnie, restauracje, willa, Hotel Zillertal i 10 domów robotniczych.

Również w pozostałych częściach Zillertalu nie wszystkie domy są jeszcze w posiadaniu Tyrolczyków: w Dolnym 5 przeszło na własność tutejszych mieszkańców, w Górnym 3 przeszły w inne ręce. W całości pozostało jeszcze 50 domów, które z przynależnymi do nich działkami, należą do potomków – rodziny te liczą 225 osób.

To, że obcy ludzie mogli tam wniknąć leży w wymarciu starych rodzin, a mniej zaś w zubożeniu. Miały tu również miejsce sporadyczne emigracje za granicę Prus. Ponieważ ziemia zakupiona mogła wyżywić tylko jedną rodzinę, to naturalną rzeczą było, że inni młodszy członkowie rodziny głównie synowie musieli odejść. Ci co odeszli, przejęli w dzierżawę liczne mleczarnie, serownie nawet w innych prowincjach. Liczba tych co musieli wyemigrować jest bardzo duża, tak że już dzisiaj gubimy się w liczbach i pamięć

ci. Odchodzący zamieszkali i znaleźli pracę w innych częściach Prus, Niemiec a nawet jeszcze dalej. O niektórych wiemy, że jeden został dyrektorem fabryki w Brunszwiku, inny został śpiewakiem w Rydze, jeszcze inny był oficerem w Berlinie, niektórzy żyją w Ameryce Północnej i Południowej, w Polsce, Rosji, Australii. Można jednak powiedzieć, że największa ich ilość pozostała w swojej niemieckiej ojczyźnie.

Szczególnie zaś w jej wąskim kole, zgodnie z naturą, pomiędzy Kowarami a Jelenią Górą. Tutaj w różnych zawodach dalej wyrażają swą wdzięczność, za gościnność jaka została udzielona rodzicom i dziadkom ze strony pierwszego państwa niemieckiego.

Ciekawym staje się bliższe przesłедzenie, jak taka młoda kolonia stopniowo zapuszczała korzenie na nowej ziemi. Jak daleko liczne i najodleglejsze rozgałęzienia tego „korzenia”, rozprzestrzeniły się na wszystkie strony. Jak mocno i na zawsze to młode drzewko, wrosło się w tą ziemię oraz jak kwitnie i wydaje owoce.

Chcę jeszcze o kolonistach i ich naturze coś w wielkim skrócie powiedzieć. Tyrolczycy jest to piękny i silny gatunek ludzi, ich charakter, usposobienie jest zawsze otwarte i szczerze, ich otwartość jednak jest daleka od naiwnej natarczywości, którą tak często można zauważyć u wędrownych śpiewaków z Tyrolu. Wiele razy chwalą ich przełożeni z urzędów, którzy wydają im świadectwo że są pracowici, uczciwi i ustępliwi. Ze swoimi sąsiadami prawie nigdy nie mają poważnych zatargów, jak to często bywa na wsi. Także ich trzeźwość jest powszechnie chwalona. Oni sami mogą powiedzieć tylko o jednym przypadku, że tylko jeden z ich gminy oddał się pijaństwu.

Daleko poza ich małym Zillerthalem są jeszcze nawet teraz znani i lubiani. U Niemców z północy, co należy przypisać dziełu muzycznemu – operetce, które długi czas z wielkim powodzeniem grane było na scenach i której melodie stały się prawdziwą własnością narodu. Był czas gdy starzy i młodzi, basy i sopran y z entuzjazmem śpiewali „Gdy tęsknię do swojej ojczyzny – mych ojczystych stron” i tym podobnie melodie. To one to właśnie przyczyniły się do popularności Tyrolczyków w dalekich stronach.

W pierwszym okresie osiedlenia, z pewnością tęsknili bardzo za pięknym południem. Rzetelnie to zwalczali, jakby to się u nich silnie i gorąco objawiało. Niektórzy jednak nie mogli oprzeć się temu i kiedy dość uskładali pieniędzy, udawali się w odwiedziny w dawne ojczyste strony. Odwiedzali rodziców, rodzeństwo, bliskich i znajomych, tak uspokojeni na duszy i sercu wracali chętnie z powrotem.

Tylko jeden przypadek można stwierdzić, że katolickim członkom rodziny udało się nakłonić, jednego swego krewnego, pewnego starego Tyrolczyka, aby na zawsze powrócił. Pewien Oblasser pozostawił w 1837 roku na łasce losu całą swoją katolicką rodzinę i udał się ze wszystkimi w daleką podróż do Prus. Jeden z jego synów, został nawet katolickim księdzem w Tyrolu. Ogromnym wysiłkiem, udało się rodzinie – przez co się kościół katolicki wyróżnia – zmusić ojca, aby swoje ostatnie dni życia spędził w Tyrolu. Tu na łożu śmierci podobno przeszedł ponownie na wiarę katolicką. Ale jest to tylko jeden wyjątek, bo wszyscy którzy pojechali do Tyrolu, wracali chętnie i z radością do Prus pod Karkonosze do swojego Zillerthalu. Do nowej ojczyzny czuli prawo obowiązku, dlatego ciągnęło ich na Śląsk. Z biegiem czasu byli dumni ze swojej nowej ojczyzny i swojego Zillerthalu.

Ich patriotyzm stał się ważną częścią ich istoty. Wielkie wydarzenia, potężnie toczące swe fale współczesnej historii, oddziaływały się żywymi farbami o każdej porze, w tym spokojnym górskim strumieniu, jaką jest ta kolonia. Z pewnością w każdej innej wiosce nie politykuje się i nie dyskutuje tak żywo, jak w tej. Przez wszystkie te lata różnych zawieruch, które naznaczyły świat strachem i sprzeciwem, a w końcu wielką radością, u Tyrolczyków pozostaje wierne i niezłomne oddanie dla króla i pozostanie przy nim i jego dworze.

Ta miłość jest wzruszająca i wie także jak dać temu wzruszający wyraz. Są oni i to słusznie, po męsku dumni z tego, by mówić tylko o najważniejszym, że w ostatniej wojnie mogło 25 młodych Tyrolczyków iść od nich na wojnę, z których 5 otrzymało Żelazny Krzyż. Każdy z nich czuje się w prawie osobistym stosunku z królewską rodziną. Jeżeli rozmawiają o poszczególnym członku tej rodziny, to tak jakby rozmawiali o najlepszym przyjacielu. I przy całej wierności i oddaniu, nie ze służalczości czy lizusostwa.

Szczególny powód do tego stosunku leży w częstych wizytach rodziny królewskiej w Erdmannsdorf z których pojedyncze osobistości w pobliżu nich mają swe posiadłości, albo dość często przybywają w Karkonosze – Góry Olbrzymie.

Ze skromną dumą opowiadają pojedyncze wydarzenia z tych kontaktów, które w ich wiernej pamięci na trwałe się ostały, przechodząc z rodziców na dzieci i wnuki jako tradycja. Pokazują również wiele listów od króla i królowej, następcy tronu i jego żony, które są przechowywane, jak drogocenna własność kolonii. Uważają naturalnie, by we wszystkim co ich duszę porusza, brała udział książęca rodzina, i dzięki wiernemu pośrednikowi ich smutków i radości ich nauczycielowi, są w stałym kontakcie z potomkami swojego dobroczyńcy.

Ale najbardziej szczegółowe i interesujące listy, które wynoszą się nad poziom kurtuazji, posiadają Tyrolczycy od jednej wysoko urodzonej kobiety, która pozostawała przez długie lata w milczącym zapomnieniu, lecz w ostatnim czasie dużo dała do mówienia o sobie. Ona to, część swojej młodości przeżyła w często opowiadanych pięknych Karpnikach jako córka księcia Wilhelma brata królewskiego. Wyrosła tutaj w bezpośrednim sąsiedztwie Tyrolczyków. Nie mogło więc być inaczej, niż to, aby ta młoda panna wrażliwa na religijne motywy, jaką była, całą swą duszę oddała na współczucie dla tych zacnych ludzi z którymi wówczas sympatyzował cały ewangelicki świat. Znalazła wewnętrzną radość, aby z nimi nawiązać kontakt i wziąć ich w swą szczególną opiekę.

Akurat ten kontakt pozostawił w ustach jak i w sercu Tyrolczyków niejedną przyjemny i uroczy obraz. Te listy 19-letniej dziewczyny, która od dwóch lat jest zamężna i pomimo katolickiego wyznania jej małżonka, pozostała wierna ewangelickiej religii. Listy pochodzą z czasów podróży do ojczystych stron jej ukochanych Tyrolczyków z 1844 roku.

Słowa w tych listach czysto odzwierciedlają uczucia tej wysoko postawionej kobiety, pozwalają nam spojrzeć w jej duszę, i aż do pewnego stopnia w melancholijny pogląd na życie kobiecej natury. Widać z nich jak bez zastrzeżeń, jest jej sympatia do tych biednych uchodźców, nie zważając na skrępowanie i bariery uciążliwej etykiety.



Mapa z 1930 roku (archiwum Emila Pyzika)

Ze szczególnym upodobaniem odsuwa się ona od oficjalnego i reprezentatywnego życia dworskiego, aby przez to z całego serca zbliżyć się do natury i jej prostych wiernych dzieci. Czytając te listy, z pewnością celowo w prostym tonie ułożone słowa, ewangelickim umysłem nasuwa się pytanie, które psychologicznie jest do wyjaśnienia, że ta wysoko urodzona osoba pomimo domu z którego pochodzi, mogła przejść na katolicyzm. Teraz, jak prawie 50 lat po tym dochowała wierności wierze swoich ojców i 32 lata już w katolickim kraju, żyła jako ewangelicka chrześcijanka.

Patrząc na to obiektywnie, takie przejście mało dziwi, akurat zaś teraz w „czasie biedy”, tak zazwyczaj dumny Rzym, uruchomił swój cudowny aparat przekonywania i nakłaniania, mając w ofercie swój, prawie urzekający apel do umysłów, prawie demoniczną siłę przyciągania na wrażliwe natury. I jeśli ten ktoś zmęczony już jest wielką walką w głębi duszy, odkłada chętnie ster na bok i daje się łatwo ponieść dalej sprawnemu sternikowi.



Ubiory Tyrolczyków (Martin Reiter „Das Zillertal in alten Ansichten”, Editon Tirol 1999)

Żaden nawet najbardziej tkliwy opis, jakiegoś trzeciego obserwatora, nie może przedstawić życia naszych kolonistów w tak czystym i jasnym świetle, niż to jakie to się tutaj ukazuje. Jak myślą i mówią, jak przyzwyczajeni są do kontaktów z rządzącymi rodzinami. Wszystko to, jest tu wspaniałe, jeśli nawet w prostych zarysach oddane. Staje się prawdziwie i jasny bliski kontakt kolonistów ze swoją dawną ojczyzną. Dzięki właśnie tym listom, chwyta to nas za serce, jakie tutaj więzy zostały rozerwane, jak to co powiązane było przez naturę, nagle zostało rozdzielone od siebie.

Akurat opisy te nikt bez wzruszenia nie będzie mógł czytać. Przy tym ta młoda pisarka, wie jak uderzyć w prawdziwy ton, który pochodzi z serca i przemawia do serca. Ona wie naprawdę, jak trzeba do tych ludzi przemówić, jak należy z nimi rozmawiać, aby zrozumieli. Ona jest świadoma o czym chętnie słuchają oraz życzenia skierowane w tamtą stronę. Jakie będzie lub jest przyjęcie u krewnych Tyrolczyków w Austrii, jakie będzie jedzenie a nawet co dadzą do picia, to wszystko odgrywa u nich wielką rolę.

I tak mogą te listy przedstawiać, koniec idyllicznej krótkiej opowieści tej ostatniej, a na pewno najmłodszej kolonii religijnej pod panowaniem rodziny Hohenzollernów.

Zaś ona wysoko urodzona pani, gdyby mogła te swoje listy z pięknego okresu młodości ujrzyć, to nie powinna się o to gniewać, lecz i przede wszystkim wspomnienia o śląskim Zillertalu i jego pracowitych mieszkańcach na zawsze zachować w pamięci, nie zaliczając ich do zmarłych. Bo tutaj, w ich małej nowej ojczyźnie, biją zawsze wierne serca w niezmiennej miłości i przywiązaniu.

A oto te listy!

Nr 1

Zell w Zillertal, 18 lipca 1844 roku.

Moi kochani przyjaciele!

Stąd, z Waszej Ojczyzny, muszę Wam życzyć dobrego wieczoru i tysiąca radości. Tutaj jestem zawsze z Wami we wspomnieniach i naprawdę się za Was modlę. Ach, jak się cieszę, że mogę być tutaj i poznać Wasze domy, widzieć Waszych krewnych i rozmawiać z nimi. Na każdym kroku myślę o Was i życzę sobie, abym mogła Wam Wasze cudowne strony znowu pokazać. W tych stronach czuję się całkiem jak u siebie w domu i nie chciałabym prawie w ogóle stąd wracać z powrotem do domu.

Przybyłam tutaj wczoraj wieczorem o godzinie 11, pozostanę dziś na cały dzień i jutro jeszcze połowę dnia do godziny 12. Dzisiaj odwiedziłam dość dużo Waszych krewnych, zaś jutro chcę pojechać do Ramsbergu, nim odejdę i u góry zjem śniadanie. Innym razem opowiem Wam, kogo dzisiaj z Waszych krewnych odwiedziłam. Dzisiaj jest już za późno, jednak nagli mnie, aby tych parę słów skierować do Was z waszej Ojczyzny. Polecam Was Bogu! Dobranoc z ulubionego Zillertalu!

Nr 2

Bad Bocklet w Bawarii. Dnia 27 lipca 1844 roku.

W Zillerthal nie mogłam ukończyć tego listu, gdyż bardzo tęskniłam za Ramsbergiem i Barleiten. W Bichl zobaczyłam Twój dom Fleidl, i chętnie posłałabym Ci drzewo, z którego Ty zwykle robiłeś buty i które Wechselbergowa która teraz mieszka w tym domu pokazała. Za to posyłam Ci przez Elizabet liście z Twojej wielkiej gruszy, która tak pięknie ocienia Twój dom. Wechselbergowa przekazuje serdeczne pozdrowienia dla Ciebie oraz swoich rodziców. Ucieszyła się bardzo mogąc o Was słyszeć i pytała się o Was dużo. Obejrzałam sobie cały Twój dom, który mi się bardzo podobał!

Także Tobie, kochany Heim i Twojej Miedel mam przekazać dużo pozdrowień od waszych krewnych. Widziałam Twoich rodziców, Twojego brata, jego żonę i dzieci, kochana Miedel Heim. Twój ojciec był szczególnie poruszony, jak wszyscy Twoi, kiedy o Was opowiadałam, o Waszych ślicznych domach i dzieciach. Z Gretą od Marii Geisler widziałam się u Waszych przyjaciół, ona Was również pozdrawia. Hollencen podobała mi się bardzo. Piłam bardzo dobre mleko, podczas gdy wyczekiwałam na koniec silnej burzy, u Twojego brata kochana Miedel, przy tym bawił się ze swymi ładnymi dziećmi.

Twojego brata kiedy tam dojechałam, nie było w domu. Dlatego nie mogłam go wziąć ze sobą jako przewodnika. W Hollencen zobaczyłam także kuzynkę Johannesę Strassera, która Ciebie i wszystkich serdecznie pozdrawia, kochany Strasser.

Nie miałam więcej czasu, aby obejrzeć Twój dom, także padało tak mocno, że pozostałam u Bendlera. W Finkenbergu, jadłam na śniadanie kartofle i mleko u Twojej siostry, kochany Józefie Stock. Nieskończenie się cieszyła z wiadomości jakie jej przyniosłam o Was, ona ma nadzieję, że niedługo ją odwiedzisz ponownie. Często powtarzała „Gdyby Cię choć raz mogła zobaczyć”. Ona i jej mąż przesyłają Wam piękne pozdrowienia. Elizabet, twoja siostra przyniosła mi kwiat, który jest dla Ciebie ze swojego ogrodu i królewskiego talara dla jej chrześniaka a Twojego dziecka. Płakała dużo z radości, że mogła ze mną o Was porozmawiać i jest naszym królowi bardzo wdzięczna, że dał Wam tak ładne domy, pola i wszystko co sobie życzyliście.

Także o hrabinie, matce Tyrolczyków von Reden z Bukowca, mówiła często i z wdzięcznością. Twoja siostra posłała następnie do domu Fankhauserów po Twoich teściów. Tylko Twoja teściowa przyszła, kochany Lasiterze, Twój szwagier był w polu. Twoja teściowa pozdrawia pięknie Was wszystkich, ciebie a szczególnie Twoją żonę. Powiedziała do mnie „Fankhausera kocham jak swojego syna”.

W Finkenbergu wszyscy mówili z miłością o Tobie i wszyscy chcą Cię znowu zobaczyć oraz pytali o Twoje dzieci i ubolewali nad tym, że przed paroma laty byłeś tak bardzo chory. Finkenberg i Diabelska Ścieżka podobały mi się bardzo, był także ciepły piękny dzień – czwartek. W powrotnej drodze wsiadłam przy ścieżce do małego powozu, który wynajęłam w Zell. Zanim jednak wsiadłam, posłałam do starej Luizy Gitsche, aby opowiedzieć jej o synach Oblasserach. Kazała powiedzieć że dla niej jest za ciężko aby dojść do powozu, czy nie mogłabym sama do niej przybyć. Wtedy chciałam także

wejść do domu, lecz spotkałam ją przed jej domem. Szła o lasce, wyglądała dość dobrze, cieszyła się jak również jej synowa, na wieść o swoich synach.

Jej żonaty syn nie był obecny, a tylko jego żona. Matka i szwagierka pozdrawiają Was serdecznie, kochani Oblasserowie. Opowiedziałam im, że jeden z Oblasserów jest gospodarzem i jeszcze pracuje na kołowrocie, to właśnie ucieszyło starą matkę.

Tych wszystkich Waszych przyjaciół odwiedziłam dnia 10 lipca. O godzinie 10 wyjechałam z Zell i wróciłam o godzinie 8 wieczorem z powrotem. Zapomniałam jeszcze, że w drodze do Finkenbergu zobaczyłam dom w Bichl, od strony zewnętrznej, gdzie mieszkali kochani Hochleitnerowie, Wechselbergowa pokazała mi go.

Dnia 19 lipca znowu miałam opuścić Zell o godzinie 12, w związku z tym chciałam jeszcze pojechać do Ramsbergu. Gdy już byłam ubrana, okazało się że ktoś chce ze mną rozmawiać, kazałam go wpuścić, w tej chwili zapomniałam jego nazwiska. Przyniósł mi list do Schonherra, który doręczyła Wam moja siostra i równocześnie przekazano wiele pozdrowień dla swoich przyjaciół i innych, a szczególnie dla Johannes Fleidla.

Przez długi czas rozmawialiśmy o Was, wtedy to opowiedział mi, że siostry Józefa Geislera, nie mieszkają w Barleiten, tylko przy drodze do Ramsbergu. Wtedy poprosiłam go, aby pojechał tam ze mną i aby pokazał mi te domy, jak przypuszczałam chętnie spełnił moją prośbę. Tak więc pojechaliśmy do Ramsau, tam gdzie stoi nowa niedawno wybudowana mała kaplica. Tam mój przewodnik wynajął kosz, włożył do niego zimne jedzenie które ze sobą zabrałam i włożył kosz na plecy i tak na górze mogliśmy wreszcie zjeść śniadanie. On jako przewodnik wyruszył przodem, ja zaś i moje panie za nim.

Od Zell szliśmy w lewo w górę w kierunku Ramsbergu. Stamtąd również wysłałam posłańca do Michtal, aby przyprowadził do mnie Andrzeja Eggera, jego żonę i dzieci, my zaś udaliśmy się do Ramsbergu. Rano padał deszcz dlatego szczyty gór były całe w oparach. Jednak nie było znowu tak gorąco jak wczoraj, dlatego szliśmy rześko. Pola i trawy wyglądały bardzo zielono po rannym deszczu i jednakowo nawilżone. Po wejściu na górę oglądaliśmy wspaniałe widoki otaczającej nas okolicy.

Podczas wychodzenia cały czas rozmawiałam z naszym przewodnikiem, opowiedziałam jemu o Was wszystkich i Waszym nowym Zillerthalu, on zaś bardzo się ucieszył słysząc tyle dobrego o Was. Dużo i serdecznie mówił o Fleidlu, jak razem byliście w wojsku w Bawarii. Wtedy to pokazał mi odznaczenie – Krzyż Zasługi który otrzymał w Bawarii. Wtedy opowiedział mi historię, jak kochany Fleidl uratował jemu życie w czasie wojny, podając mu wodę do picia. Powiedział, że on jemu tego nigdy nie zapomni i za to będzie zawsze wdzięczny. Wtedy opisałam jemu jak wygląda dom Fleidla, ile ma dzieci oraz co porabia jego żona Saara. Dla niej i dla Was wszystkich przesyła wiele pozdrowień. Również dużo rozmawialiśmy o rodzinie Geislerów, o tym jak Fleidl bardzo szanował Jakuba Rahma i że jego grób znajduje się w pobliżu dawnego domu Fleidla.

Cieszył się wszystkim, co usłyszał dobrego o Was wszystkich, zaś złego słowa nie powiedział o Was, wszyscy mówili z wielką miłością i serdecznością o Was jako o dawnych sąsiadach. Podczas takiej rozmowy czas wchodzenia na górę szybko minął, ale ja często pytałam przewodnika czy zaraz zobaczymy dom Anny?



Tyrolczycy (Martin Reiter „Das Zillertal in alten Ansichten”, Editon Tirol 1999)

Pierwszy pokazał się dom siostry Józefa Geislera, następnie dom Anny. Przewodnik chciał zaraz wejść do środka i zawołać Annę, lecz ja go zatrzymałam, ja sama chciałam wejść do niej. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam w środku Annę i jej dwoje dzieci, i jak robiła kluski na obiad. Najstarsza siedziała na ławie zaś mała spała w kołysce obok niej. Zaraz ruszyłam w stronę Anny, uściskałam jej rękę i odezwałam się „Jesteś córką Warblów, ja przybyłam aby przynieść ci od Twoich wiadomości”. Wówczas założyła rękę na twarz, upadła głową na stół i odezwała się „Ach moja matka, moja matka, tak chciałabym znowu ją zobaczyć”! Przy tym gorzko płakała.

Zaraz opowiedziałam jej jak jej matce i wszystkim dobrze się powodzi, lecz ona płakała jeszcze długo i tak bardzo się cieszyła z moich słów o Was. Teraz opowiedziałam jej, że udaje się do Barleiten, aby obejrzeć dom gdzie mieszkali Geislerowie oraz że chcę wezwać jeszcze Marię, bo ona mnie tam ma zaprowadzić i wtedy może obie pokażą mi cały Barleiten. Szybko ubrała się, a ja zaś kołysałam małą córeczkę z pięknymi i dużymi oczami, które przypominały Rahma. Później ubrała dziecko, zawołała służącą i męża aby pilnowali domu. Jej mąż był bardzo uprzejmy i przyniósł mi czereśnie do spróbowania.

Wreszcie poszliśmy do góry do domu Józefa i Marii Rahmów. Po drodze opowiadałam jej o Was wszystkich, szczególnie zaś musiałam mówić o tobie, kochana Warbl, a także o rodzeństwie i o Joregallu, którego śmierć wprawiła ją w wielki smutek. Ona jeszcze nie wiedziała, kim ja jestem. Po drodze w czasie odpoczynku, gdzie w lesie rozciągał się piękny widok na góry i doliny, zapytałam o Annę.

„Czy Józef nie wspominał nigdy w listach o Mariechen”? Wtedy ucieszyła się i powiedziała: „tak, o księżniczce” opowiadała coś niecoś, z tego o czym pisałeś do niej o mnie. Wtedy jej powiedziałam: „To jestem właśnie ja”. Wówczas bardzo się cieszyła i dziwiła oraz dziękowała mi za to, że przybyłam do nich. W swoim domu zaproponowała mi również coś do jedzenia, ja jednak powiedziałam jej, że wolę lepiej zjeść u góry lub jak wrócimy z Barleiten, to też mam coś do jedzenia.

Opowiedziałam jej o całym jej rodzeństwie, o tym że Jakub został żołnierzem i inne z czego cieszyła się bardzo. Tak idąc rozmawialiśmy ze sobą dużo, aż w końcu ukazał się nam dom Józefa Rahma. Powiedziałam jej żeby weszła do domu i zobaczyła czy wszyscy są w domu. Otworzyła więc drzwi, weszła do izby i zawołała abym weszła za nią. Z wielkim uczuciem weszłam do środka, gdzie brat kochanego Gotlieba Jogl siedział z żoną i dziećmi oraz z chłopcem do krów, przy jednym stole. Pośpiesznie weszłam do środka i od razu podeszłam do Rahma i uściśkałam mu rękę mówiąc „Jaką radość sprawia mi, że mogę zobaczyć Ciebie, brata Rahma, którego tak bardzo lubiłam”.

Później podałam rękę Marii, oboje cieszyli się wyróżnieniem że mogą mnie oglądać. Maria miała łzy w oczach, wyglądała rażno i zdrowo, również i Anna która bardzo podobna jest do matki, zaś Maria do Józefa. Dzieci są również bardzo miłe i ładne, a wszyscy mają swoje oczy po Rahmie, takie małe, po czym roześmiał się Józef. Moidl wciąż mówiła z dużą uprzejmością i radością i że chce nam coś ugotować, dla was podam również przebrane czereśnie. Wtedy poprosiliśmy tylko o mleko, które wypijemy w drodze powrotnej z Barleiten.

Poszłam więc z Anną przodem, Moidl chciała do nas dołączyć, zaś Józef Rahm pozostał w domu razem z dziećmi. Tak więc szliśmy aż do Barleiten z wielkim i radosnym uczuciem. Wnet pokazało się i Barleiten. Śliczny dom na zboczu góry, otoczony drzewami owocowymi z pięknym widokiem na góry i dolinę oraz Hippach przed nami. Weszłam do środka z Anną przez ten próg dosyć jak na mnie wysoki. Powiedziałam również do Anny „Ach tak często Twoi rodzice i rodzeństwo chodzili tą drogą”.

Cicho i z modlitwą na wargach, wstąpiłam do Was kochani Rahmowie i Geislero- wie oraz z pięknymi życzeniami, abyście mogli ku swojej radości i Waszych córek, próg tego domu jeszcze raz przekroczyć i może kiedyś też go odwiedzić.

Anna zaprowadziła mnie do kuchni, następnie do izby, gdzie byli akurat obcy dla nas ludzie i jakiś człowiek siedział na ławie. Następnie poszliśmy na górę, gdzie Anna i Moidl zawsze spały, potem tam gdzie Ty i Gotlieb Jogl spaliście, kochana Barbarko. Wtenczas pomodliłam się szczególnie za Was i kochanych maluchów i wszystko sobie dokładnie obejrzałam. Izbę, gdzie spali Józef i jego bracia, i tutaj również pomodliłam się za nich i Teresę oraz wspomniałam spoczywającego Goringala. Szczególnie modli-

łam się za Rahma i myślałam o nim że będąc tam w niebie patrzy na nas jak oglądamy wasze pokoje.

Następnie poszliśmy na balkon, tu dołączyła do nas Moidl skąd oglądaliśmy wspaniałe widoki i dużo wspominaliśmy razem o Was wszystkich. Chciałam w domu naskubać trochę drzewa dla Was na pamiątkę kochana Warbl, jednak zrobiła to za mnie Moidl. Moja siostra Elżbieta postara się, aby te pamiątki dotarły do Was w Erdmannsdorf – Zillerthal. Ona również przywiezie różne kwiaty z Ramsbergu, które rosły blisko Barleiten i które tam dla Was zerwaliśmy. Następnie jeszcze raz poszłam do Waszej izby, gdzie w ciszy modliłam się za Was i wspominałam Was.

Było mi naprawdę ciężko gdy przyszło mi opuścić Wasz wspaniały dom. Również bardzo dokładnie obejrzałam wszystko na zewnątrz. Jak piękne są tu widoki, zapewne wszystko to pamiętacie i chcieliście kiedyś to jeszcze raz zobaczyć. Zapewne Bóg Wam za to wszystko kiedyś odpłaci, że musieliście ten piękny kraj opuścić i podążyć za nim.

Teraz znowu w drogę do Moidl i do Rahma. Georga Rahma nie mogliśmy znaleźć, więc poszłam na górę do Gotlar. Kiedy przybyliśmy do Moidl, ona z Rahmem wynieśli stół przed dom, na którym postawili wielką miskę pełną mleka, zaś dookoła leżały gałązki z czereśniami. Mnie to wszystko bardzo się podobało, jadłam teraz u Waszego rodzeństwa i wzajemnie bardzo się cieszyliśmy ze wspólnych odwiedzin.

Podczas jedzenia musiałam wciąż opowiadać, dlatego mało jadłam by wykorzystać masz czas. Oni chcieli wiedzieć wszystko o Was, czym się teraz zajmujecie. Powiedziałam również, że zbliża się godzina 11, a o tej godzinie Tyrolczycy pod Karkonoszami również spożywają posiłek, co ich również bardzo ucieszyło. Kiedy skończyłam jeść poszłam z Rahmem na górę, gdzie pokazał mi śliczną, zieloną i kolorową szafę, która Warbl podarowała Moidl jako prezent ślubny. Wtedy Rahm odezwał się „Widzisz, to jest jeszcze od Warbl”. Teraz udaliśmy się oboje i Twoje córki kochana Warbl na balkon skąd oglądaliśmy piękny widok, wtedy naprawdę bardzo dużo zaczęłam o Was wszystkich opowiadać. Byłam wtedy sama z tym trojgiem mówiłam o Waszych wieczorach w Kowarach.

Opowiedziałam im jak to raz Was tam odwiedziłam, jak Gotl Jogl mnie podniósł z powozu i jak zrobił dziwny zwis do kozła. Wszystko to ich bardzo cieszyło, a Rahm zapytał „Więc zrobił zwis” i często to powtarzał. Widać było, że wzruszyło go to bardzo jak słuchał o swym zmarłym bracie. Wtedy też mu powiedziałam „Może Gotl Jogl wie, że jesteśmy teraz razem oraz że rozmawiamy o nim. Z wielkim wysiłkiem powstrzymywał łzy. Opowiedziałam im również że często bywał u nas w kościele w Karpnikach, gdzie często razem się modliliśmy.

Moidl i innym mówiłam o tym że kazałam sobie pokazać, izbę gdzie Gotl Jogl i Goringal zmarli. To wzruszyło oboje także i wtedy dobra Moidl zaczęła gorzko płakać. Ja podałam jej rękę i tak pozostałyśmy długa chwilę razem. Potem poszliśmy jeszcze raz na górę do jej pokoju. Tam powiedziałam jej że Fleidl mieszka najbliżej cmentarza, gdzie został Gotlieb Jogl pochowany, powiedziałam jej o ich wzajemnej przyjaźni i powiedziałam jej że Fleidl przyniósł mi również z grobu kwiaty z grobu Gotl Jogl, że przechowuje

je w swojej biblii. Posiadam również linijkę zrobioną z pierwszego drzewa, które Fleidl i Rahm razem ścięli. Zawsze chciałam odwiedzić grób Rahma, lecz nigdy do tego nie doszło. Jeżeli znowu tam pojedę, to chcę myśleć o Józefie Rahm.

Ach gdybyście mogli być przy tym, jak ich cieszyło każde słowo usłyszane ode mnie o Was, jak się śmiali i płakali z radości!!! To co ja im o Was opowiedziałam, to ten list tego nie obejmie. Każą Was wszystkich pięknie pozdrowić i chcieliby Was wkrótce u siebie zobaczyć. Pożegnałam się z Rahmem i jego dziećmi, zaś Anna i Moidl udały się ze mną. Obie niosły na rękach swoje najmłodsze dziecko. Tak towarzyszyły mi aż do Ramsau w dół przy samym powozie. W czasie schodzenia w dół nieraz mi pomagały i trzymały za ręce.

Gdy byłyśmy na dole podeszła do nas kobieta, która dała mi list do Mathiasa Tropa i dołączyła dużo pozdrowień. Tu pożegnałam się z naszym przewodnikiem. Z listu, który dał dla Schonschera, możecie dowiedzieć się jakie było jego imię, bo mnie uszło całkiem z pamięci.

W Ramsau wsiadłam do małego powozu, Anna i Moidl podały mi jeszcze ręce na pożegnanie i dołączyły jeszcze tysiące pozdrowień dla Was wszystkich. Było im bardzo ciężko patrzeć na oddalający się powóz i bardzo płakały z radości i z rozłąki. W gospodzie w Ramsau spotkałam żonę Andrzeja Eggera tylko z trójką dzieci, pozostałe czują się dobrze, ale nie mogły przybyć. Zamówiłam ekspres aby tobie posłać szybko o tym wiadomość. Żona Twoja wyglądała nawet dosyć dobrze, ponieważ żona ciągle płakała, dlatego odpowiadał najstarszy syn Mały Franek wyglądał całkiem dobrze i jest już dosyć duży jak na swój wiek. Wszyscy Twoi bliscy każą Cię serdecznie pozdrowić: żona, syn, córka i mały Franek. Powiedziały im o tym, że często o nich myślisz i chciałbyś ich kiedyś odwiedzić. Tego chcą także oni, tak odpowiedzieli wszyscy. Twój najstarszy syn powiedział „Chcemy prosić ojca, aby o nas nie zapomniał i nie gniewał się na nas”. Gdy na koniec pożegnałam się z nimi i odjechałam, twoja żona chciała zatrzymać powóz, tak bolało ją, że powóz już odjeżdża. Powodzi im się dobrze i wciąż myślą o Tobie.

O godzinie 1 w południe opuściłam Zell i Wasze ojczyste strony, było mi naprawdę bardzo ciężko, żal było rozstawać się z tymi pięknymi stronami, gdzie mnie wszędzie tak miło podejmowano nim dowiedzieli się kim naprawdę jestem. Każdy okazywał mi dowody swojej miłości i przyjaźni, tu czułam się dobrze i swojsko, w tej bardzo urodzajnej i pięknej dolinie, w pośrodku Waszych krewnych.

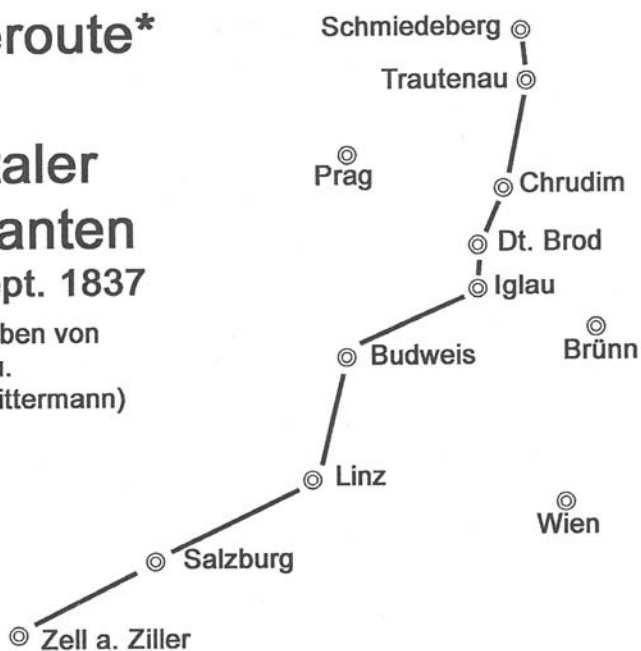
W drodze przez Fugel koło Strass opuściłam ukochaną Waszą dolinę, jak to tylko było możliwe oglądałam się do tyłu, aby jeszcze raz spojrzeć w te piękne i urokliwe strony. Cały czas modliłam się za Was i Waszych pozostawionych krewnych. Teraz żegnajcie! Bóg z Wami wszystkimi! Módlcie się za mnie i często wspominajcie Waszą przyjaciółkę!

Dołączam obrazek z Zell dla was ze Schwatz oraz chusty dla kobiet, które pochodzą z Zell bo w Waszych wioskach takich rzeczy nie można było dostać.

Serdecznie pozdrawiam Waszą przyjaciółka Maria

Reiseroute* der Zillertaler Inklinanten Aug./Sept. 1837

(nach Angaben von
Dr. Gruhn u.
Pastor J. Bittermann)



*ca. 90 Prß. Meilen = rd. 700 km

Trasa wędrówki Tyrolczyków z Zillerthal do Kowar w 1837 r.



ISSN 2449-741X